

Przegląd kulturalny

TYGODNIK RADY KULTURY I SZTUKI

SPÓR O ROZUMIENIE KULTURY

W NUMERZE:

JERZY PUTRAMENT — Planolatria
WITOLD ZALEWSKI — Na albańskiej drodze (II)
ARTUR SANDAUER — Z pamiętnika izraelskiego (II)
JADWIGA SIEKIERSKA — W sprawie estetyki i malarstwa młodych
ANDRZEJ WYDRZYŃSKI — O problemie, którego nie wolno prze-
milczeć
WIERUSZ BIALORUSKIE
ZYGMUNT MYCIELSKI — Pianista i muzyk
ST. JERZY LEC — Wiersze
ALEKSANDER JACKIEWICZ — Z ziemi włoskiej do polskiej
ADAM ANDRZEJEWSKI — Ile i jak budujemy

Wydarzenie jest niecodzienne. Prof. Adam Schaff, członek Polskiej Akademii Nauk, zabrał głos na łamach tygodnika „Przegląd Kulturalny” z powodu artykułów drukowanych przez innego członka Akademii w „Nauce Polskiej”, kwartalniku Polskiej Akademii Nauk. Tego jeszcze nie było w (nie długich co prawda, bo dopiero trzy-letnich) dziejach Polskiej Akade-mii Nauk, aby jej czasopismo poświęcone zagadnieniom rozwoju nauki w Polsce wywołało u członka Akademii zainteresowanie tak duże, że zechciał dać mu wyraz wobec szerokiej publiczności czytającej. Niezwykłość tego wydarzenia tak uderzyła samego prof. Schaffa, że artykuł swój zaczął od następują-cych słów: „Wstępuję w szranki z wyraźną treścią, starając się oświeć z dawno nieużywanym miejscem starcia. Od iluż to lat bowiem spory filozoficzne zeszły z łamów na-szych tygodników na o wiele bar-dziej przestrzenne, ale i chcież-stronice „grubych” czasopism naukowych”.

Myszę, że możemy sobie z prof. Schaffem wzajemnie pogratulować, że jesteśmy pierwszymi członkami Akademii, którzy, rozpoczynając naukową dyskusję na temat zagad-nień kultury współczesnej, czynią to na łamach tygodnika przeznaczonego dla szerokiej publiczności czytającej.

Przełamywanie izolacji naukowej humanistyki i naukowych czasopi-sm humanistycznych od tygodni-ków zajmujących się zagadnieniami współczesnej kultury dokonywało się bardzo powoli. Pierwszy artykuł¹⁾, który wywołał wśród humanistów duże zainteresowanie i bardzo ostrą wymianę poglądów, drukowany był w „Nauce Polskiej” już w początkach 1954 r., a więc półtora roku temu. Dyskusja, jaka się wywiązała z powodu tamtego artykułu, nie wyszła jeszcze poza „grube” czasopisma naukowe („Nau-ka Polska”, „Pamiętnik Literacki”, „Myśl Filozoficzna”), jakkolwiek zagadnienia, jakie zostały tam poruszone, nadawały się do szerszej dyskusji właśnie w Roku Mickie-wicza. Drugi dyskusyjny artykuł²⁾ drukowany w „Nauce Polskiej” w kilka miesięcy później nie wywołał żadnej dyskusji. Dopiero ostat-ni artykuł *Zagadnienia kultury współczesnej w humanistyce pol-skiej* („Nauka Polska” Nr 2, 1955), który ukazał się w lipcu b. r. spo-wodował wystąpienie czołowego teoretyka marksizmu-leninizmu w osobie prof. Schaffa, zapoczątko-wując chyba dalsze ujawnianie się naukowej humanistyki na łamach tygodników poświęconych zagad-nieniom kultury współczesnej.

Publiczna dyskusja na temat za-gadnień kultury współczesnej, po latach izolacji od tych zagadnień, nie przychodzi łatwo. Świadczy o tym artykuł prof. Schaffa, który nosi jeszcze sporo nieprzeciętne-go piętna ideologicznego szko-leń. Jakaż bowiem nuta dominiu-je w artykule? Ta dominująca nu-tą jest sprawa zgodności lub nie-zgodności moich poglądów z mark-sizmem. Ta kwestia została już podniesiona w stosunku do moich artykułów przez „Trybunę Ludu” i tej sugestii wyraźnie uległ prof. Schaff, rozpoczynając dyskusję. Sprawa ta jest jednak rozpatrywana przez prof. Schaffa w sposób na-cieczowy życzyliścieś tak wyjątko-wą i odbiegającą od atmosfery, w jakiej wystawiano niejednokrot-nie cenzurki z marksizmu-leninizmu nie tylko autorowi artykułu, ale innym humanistom, że pod tym względem głos prof. Schaffa ma znaczenie piśmierskie.

Czy poglądy autora artykułu *Za-gadnienia kultury współczesnej w humanistyce polskiej* są zgodne z marksizmem - leninizmem? Czy to jest dobry punkt wyjścia dla nau-kowej dyskusji? W jakiej dziedzi-nie nauki od takiego pytania za-czynają się płodne dyskusje naukowe? Gdyby w jakiegokolwiek nau-uce od takich pytań zaczynały dyskusje naukowe, to ich stan szybko upodobniłby się do stanu filozofii w Polsce lub do jeszcze gorszego stanu psychologii lub pedagogiki. Czy jest uzasadnione rozpoczynanie

pisarskiego turnieju na temat, kto jest lepszym marksistą?

„KATEGORIE” MARKSIZMU I TEORIA „DWOCH NURTÓW” W KULTURZE

Prof. Schaff wybrał do dyskusji szereg zagadnień. Niektórymi zaj-mię się obecnie, inne zostawiam do na-tępnego artykułu.

Pierwsze z tych zagadnień do-tyczy mojego „ahistorycznego” sta-nowiska, wskutek którego „otwiera się — jak pisze prof. Schaff — szerokie pole dla wszelkiego roz-daju błędnych sugestii na temat (...) niedostatecznego zasobu kate-gorii marksizmu dla rozwoju nauki i płynącej stąd konieczności „uzupełniania” marksizmu etc”. Odpowiem na to, że historia nauki nie zna ani jednej teorii naukowej, która by od razu zrodziła się z pełnym zasobem „kategorii” i któ-ra nie ulegałaby w procesie rozwoju stałemu uzupełnianiu. Kto twierdzi inaczej, ten jest w sprze-czności z historią nauki i z mate-rializmem historycznym. Związ-cza teoria tzw. kultury duchowej czy zjawisk zaliczanych do nad-budowy, która w pismach klasyków marksizmu - leninizmu nie została w tym stopniu rozwinięta, co stro-na społeczno - polityczna, potrze-buje rozwinięcia i uzupełnienia. Czy wymaga to wprowadzenia nowych „kategorii” do myślowego systemu materializmu historycznego? Odpo-wiedź na to pytanie nie może być dogmatyczna. Wyniknie ona z roz-wiązywania konkretnych zagad-nień historii kultury. Marks pisał: „Trudność polega nie na tym, by zrozumieć, że sztuka i epos grecki są związane z określonymi społecz-nymi formami rozwoju. Trudność leży w zrozumieniu tego, że wciąż dają nam one rozkosz artystyczną i w pewnym sensie zachowują zna-czenie normy i niedosięgniętego wzoru”. Kto zajął się tą trudnością i dał naukowe jej rozwiązanie? Do-póki nie odpowiedzą na to mate-rialiści, to zastępować ich będą idealiści.

Drugim zagadnieniem jest tzw. teoria „dwóch nurtów” w kulturze. W sprawie tej pisze prof. Schaff, co następuje: „Należy (...) pamiętać, że kon-cepcja ta nie odgrywa w marksiz-mie jakiegś drugorzędnej roli. Jest ona najściślej związana z podsta-wowymi tezami materializmu hi-storycznego o bazie i nadbudowie, o klasowym charakterze kultury itp. Jest ona sprawdzona na bogatym materiale historycznym. I dlatego też służy jako wypróbowana mark-sistowska dyrektywa metodologiczna przy badaniach kulturowych”.

Na czym polega nieporozumienie? Lenin nigdzie nie wypowiadał po-glądu, że jego dwie antagonizujące linie rozwoju filozofii (idealizm-materializm) oraz wypowiedź o dwóch kulturach (burżuazyjnej i demokratycznej) w obrębie narodu wyczerpują cały mechanizm rozwoju kultury. Poglądy Lenina o dwóch liniach w filozofii i o dwóch kulturach oddają określony rzecz-ywisty aspekt myśli filozoficznej i dziejów kultury i dlatego są praw-dziwe. Ślusznie uważa je prof. Schaff za wypróbowaną marksis-towską dyrektywę metodologiczną w badaniach kulturowych”.

Prawdziwość tych poglądów Le-nina i płodność tej dyrektywy nie wykłucza jednak prawdziwości mojego poglądu, według którego dzieje kultury świadczą nie o jed-nym wielonurtowości — różnej w różnych epokach — jak również o ciągłości rozwoju kulturalnego społeczeństwa poprzez różne forma-cje. Czy ta ciągłość może być okre-szona jako „jednolity potok” rozwoju kultury? Jeżeli różne dzieła umysłu i twórczości człowieka, słowem dzieła kultury duchowej, zro-dzone w formacji niewolnictwa, feudalizmu i kapitalizmu zachowują swoją wartość w kulturze socja-lizmu — to chyba jakaś jedno-litość dziejów kultury ludzkiej wy-stępuje? Onus probandi twierdze-nia przeciwnego należy do prof. Schaffa, jeżeli by rzeczywiście twier-dzenie przeciwne uważał za praw-dziwe. Jeżeli dobrze rozumiem dia-lektykę rozwoju historycznego, to walka przeciwieństw nie wyklucza jedności. To wydają się potwier-dzać dzieje kultury zarówno poszczególnych narodów jak i całej ludzkości.

W odpowiedzi prof. Adamowi Schaffowi

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Pytanie nie polega na tym czy koncepcja dwóch nurtów w kultu-rze jest prawdziwa, lecz na tym, jaki jest zakres czy aspekt zjawisk, które wyjaśnia? Nie sądzę, aby prof. Schaff twierdził, że teoria ta wyjaśnia wszystko co potrze-buje naukowego wyjaśnienia w rozwoju kultury. A jeżeli nie wyjaś-nia wszystkiego, to trzeba ustalić, co wyjaśnia, a czego nie wyjaśnia, w jakiej mierze przybliża nas ona do rozumienia złożoności proces-u rozwoju kultury i jak należy ją rozwijać i uzupełniać, aby zrozumi-enie to było zupełne. Nie kwes-tionuję słuszności tej koncepcji jak-o „dyrektywy metodologicznej”, lecz przeciwstawiam się tym po-glądom, które jej nadają charakter teorii wyjaśniającej całość me-chanizmu kultury.

Czytelnik zapyta, jak to jest moż-liwe, że zarówno pogląd o jednolito-ści dziejów kultury, jak pogląd o dwóch nurtach w kulturze, jak wszędzie o wielonurtowości w kul-turze są prawdziwe? Odpowiadam na to, że każdy z wymienionych poglądów jest prawdziwy w innym zakresie każdy wyjaśnia inny as-pekt historyczny złożonego zjawis-ka rozwoju kultury. Takie stano-wisko metodologiczne jest nie tyl-ko możliwe, lecz absolutnie nieo-drzeczne, jeżeli chce się zająć stano-wisko naukowe w stosunku do dzie-jów kultury, zgodne z rozwojem myśli naukowej. Taki pogląd — a

to, że była to pierwsza poważniejsza dyskusja wśród humanistów po okresie „szkolenia” starych huma-nistów. Toczyła się już na gruncie wspólnie rozumianych i akceptowa-nych założeń metodologicznych marksizmu. Współdziałała w niej budząca się wśród młodego pokole-nia humanistów świadomość tego, że znajomość metodologii mark-sistowskiej służy rozwojowi nauki pod warunkiem, że idzie w parze z grun-towną wiedzą historyczną. Bez grutownej wiedzy historycznej marksizmu-leninizmu staje się u-miejętnością formalną, a w krańco-wych przypadkach scholastyczną. W rezultacie dyskusja, która zaczy-nała się przy bojowych fanfarach klasowej walki ideologicznej i pod znamię konfliktu starego po-kolenia humanistów (obciążonych jeszcze balastem idealizmu) z mło-dą awangardą marksistowską, nie doprowadziła do zaostreżenia się przeciwieństw metodologicznych, (jakby to można odnosić wrażenie z artykułu prof. Schaffa), lecz prze-ciwnie do ogromnego z pogodzenia różnic stanowisk metodologicznych, które na początku wydawały się biegunowo przeciwstawne. Aby się o tym przekonać, wystarczy poró-wnać pierwszy artykuł „Myśli Filo-zoficzne” (Nr 4, 1954) w tej sprawie piera Bronisława Baczkę pt. *Głos w dyskusji w sprawie liberaliz-mu* z drugim artykułem tegoż au-tora w tymże piśmie (Nr 4, 1955)

na jest niewątpliwie punktem wyj-sciowym dla analizy ich światopo-glądów, jest ona niezbędna dla marksistowskiej analizy i odrzu-cenia burżuazyjnej interpretacji kultury, jako „jednolitego potoku”. Jest niezbędna, ale nie wystarcza-jąca jeszcze. Winną ona stać się punktem wyjściowym dla konkret-no - historycznego prześledzenia, jak na gruncie tych przeciwstawn-ych tendencji politycznych kształ-towały się tendencje ideologiczne, światopoglądowe, artystyczne”⁴⁾.

Ta wypowiedź docenta Baczkę wy-raża mój pogląd w tej sprawie, jest jednak zasadniczo różna od sta-nowiska zajmowanego przez docen-ta Baczkę w poprzednim jego arty-kule.

Jeszcze jeden krok naprzód! Prze-myślenie zagadnienia, które Marks postawił w odniesieniu do nieprze-mijającej wartości sztuki greckiej, pozabawi prof. Schaffa i docenta Baczkę leku przed straszakiem „jed-nolitego potoku” kultury. A w o-góle więcej czasu na własne myślenie dla wszystkich niż na szko-leenie ideologiczne innych, a zyska nie tylko nauka o kulturze, ale i sama kultura Polski Ludowej.

Drugi artykuł prof. Schaffa: *Jak kształcić młode kadry naukowe* („Przegląd Kulturalny” z 22-28. IX. 1955) wskazuje również na to, że pozornie duża różnica w naszych poglądach na możliwość i rację bytu zżółł w obrębie humanistyki marksistowskiej (jaka zarysowała się w pierwszym artykule prof. Schaffa) ogromnie zmalała w ciągu tygodnia. Prof. Schaff pisze: „Na-leży żądać i rygorystycznie egzek-wować (...), by sprawa tworzenia

zdeteminowana nie tylko przez tę formację, w której myśliciel żyje, lecz przez całość kultury duchowej narodu i ludzkości. Inaczej byłoby niezrozumiałe, w jaki sposób pisarz może się w mniejszym lub więk-szym stopniu uniezależniać od swo-jej klasy i tworzyć dzieła nieprze-mijające. Tylko w świetle tego po-stulatu metodologicznego, niekwes-tionowanego nigdzie przez klasy-ków marksizmu, teoria „dwóch nur-tów” w kulturze może być wła-sciwie rozumiana i stosowana. Od-stępując od tego postulatów metod-o-logicznego, wkracza się na drogę wulgaryzacji metody materializmu historycznego.

Wulgaryzacja leninowskiej teorii „dwóch nurtów” idzie czasem tak daleko, że przestaje się badać zja-wiska kultury, a dokonuje się tyl-ko segregacji tych zjawisk do jed-nego lub drugiego nurtu, odrywając je od konkretnego kompleksu zjawisk z historii kultury. Przed paru laty jeden z młodych filozo-fów na Uniwersytecie Warszawskim wykiadał historię idealizmu w fi-lozofii w ten sposób, że, stwierdziw-szy, że Platon jest reakcyjnym idea-listycznym oskurantem, przechod-ził od razu do rozprawienia się z Piłsudskim. Czy nie miał racji? Je-żeli Platon i Piłsudski należą do jednego reakcyjnego nurtu idealis-tycznego, to po co czytać Platona po grecku, kiedy Piłsudskiego łat-wiej przeczytać po polsku. W roz-umieniu dwóch nurtów przez tego „filozofa” taka operacja naukowa była możliwa, ale nie nauczył się jej od Lenina. Podobno ów myśli-ciel cieszył się ogromnym autory-tetem filozoficznym wśród wielu dziennikarzy i redaktorów.

„DWA NURTY” WSPÓŁCZESNOŚCI

Przeniesmy zagadnienie „dwóch nurtów” na teren współczesności. Czy w Polsce Ludowej można mówić o dwóch nurtach w kul-turze w sensie leninowskim? Opo-więdź na to pytanie zawiera się w stanowisku prof. Schaffa. Leninow-ska teoria dwóch nurtów jest wy-próbowaną dyrektywą metodologi-czną również w odniesieniu do pro-cesów kultury współczesnej, zarów-no w Polsce, jak i poza nią. Mamy wyraźnie występujący nurt dem-okraticzno - postępowy (Front Na-rodowy, ruch pokój) z przodującą rolą ruchu komunistycznego w tym nurcie. Z drugiej strony, mamy obóz reakcji. Czy ten podział, które-go podśawa są historycznie uza-sadnione kryteria społeczno-po-lityczne nie wyczerpuje w całości dynamikę procesów kultury w Polsce Ludowej? Nie. Z punktu widzenia procesów kultury w sa-mym naszym nurcie demokratyczno-postępowym (nie biorąc pod uwagę nurtu reakcyjnego) występują co najmniej trzy poważne nurty: komunistyczny, liberalno - postę-po-wy i katolicko - postępowy. Praw-dziwy jest również pogląd, według którego chrześcijaństwo i komunizm są istotnymi nurtami ścierającymi się w kulturze Europy współczesnej, lecz takie dwunurtowe ujęcie nie pokrywa się z podziałem na nurt politycznie reakcyjny i politycznie postępowy. Czy cały nurt chrześci-ański należy uważać za wrogi po-stępowi? Przecież tak nie uważa-my. Zgodnie z wymaganiami me-tody naukowej trzeba stwierdzić, że na terenie jednego kulturalnego nurtu chrześcijaństwo, społeczno - polityczny nurt postępowy i dem-okraticzny jest w konflikcie z nur-tem reakcji. Postępowi katolicy z „Dziś i Jutro”, przeciwstawiając się reakcyjnemu nurtowi katolycznemu twierdzą, że „socializm jest w da-nym okresie najdoskonalszym wzorem ładu materialnego”⁵⁾, a „ka-tolicyzm jest jedynym wzorem ładu duchowego”⁶⁾ w pewnym więc za-

Dokonczenie na str. 2



W dniu 1. X. br. wielki naród chiński obchodzi szóstą rocznicę proklamowania Republiki Ludowej

nie pogląd przeciwny — jest zgod-ny z zasadami dialektyki i mate-rializmu historycznego.

Biorąc analogię z nauk przyrod-niczych, można powiedzieć, że praw-dziwa jest atomowa teoria zjawisk fizycznych, ale z tego nie wynika, że nieprawdziwe są teorie po-wstające na gruncie rozbitcia jądra atomowego. Znacząco tego przedmiotu informuje nas, że do opisu świa-ta atomowego potrzebne nam są e-lektrony, protony, neutrony itp. traktowane jako cząstki mate-rii oraz jako fale. „Do pełnego opisu zjawisk musimy uży-wać obu obrazów — korpuskularne-go i falowego — przy czym dwa te obrazy uzupełniają się nawzajem”³⁾.

WYNIKI DYSKUSJI

Podsumujmy rezultaty dyskusji na temat „dwóch nurtów”, która toczyła się od półtora roku i miała fały niemałego ożywienia. Przede-wszystkim trzeba zwrócić uwagę na

pt. W sprawie dróg kształtowania się światopoglądu w polskiej dem-okraticznej myśli społecznej połowy XIX w. Wystarczyło, aby autor tego artykułu uwolnił się od strasza-ka „liberalizmu” i wyszedł z roli obrońcy Polski Ludowej przed kla-sowym wrogiem cychającym za w-głem artykułu napisanego przez „li-berała”, a myśl jego zaczęła pra-cować poznawczo i wchodzić, nie przyznając się jeszcze do tego, na tę samą drogę rozumienia historii kultury, którą niedawno bezlitoś-nie zwalczał.

Co pisze docent Baczkę o roman-tyzmie: „Romantyzm był i Dem-bowski, i Cieszkowski. Nie wystar-czy jednak, gdy poprzestaniemy na stwierdzeniu, że jeden z nich był postępowym, a drugi reakcyjnym romantyzmem, że jeden był wy-raźnikiem interesów sojuszu szlache-cko - burżuazyjnego, a drugi — rewolucyjny mas chłopskich i le-wobelskich. Charakterystyka politycz-

szkoły, stała się dla każdego powa-żniejszego uczonego sprawą nie tyl-ko obowiązku, lecz również hono-ru”. Zgodą Honor w tej sprawie nie zrodzi się jednak z „rygorysty-cznego egzekwowania”. Zrodzić go może jedynie odpowiedni klimat intelektualny.

Wszystcyśmy już zrozumieli, że nie ma nauki apolitycznej. Ale nie wszyscy jeszcze zrozumieli, że w ogóle nie byłoby nauki ani w prze-szłości, ani jej rozwoju obecnie, gdyby do każdego aktu myśli uczonego i do całego procesu po-znania przenikała integralnie poli-tyka. Nie byłoby w ogóle kultury, gdyby o jej powstaniu i rozwoju decydowała wyłącznie walka klas.

Badanie zjawisk kultury odpowia-da w pełni wymaganiom metody naukowej, gdy się je traktuje jedno-cześnie w ich zależnościach spo-lecznych, jak i w płaszczyźnie in-dywidualności twórczej, która jest

Publikację artykułu prof. J. Chałasińskiego w dyskusji na temat zagadnień współczesnej kultury, zapoczątkowanej artykułem prof. A. Schaffa, redaktor w najbliższych numerach zamieści dalsze wypowiedzi.

¹⁾ Józef Chałasiński, *Z zagadnień historii kultury polskiej pierwszej połowy XIX w.* „Nauka Polska” nr 1 (1954) s. 81-121.

²⁾ Józef Chałasiński, *Inteligencja ludo-wa — Naukowy pogląd na świat — Upowszechnienie wiedzy.* „Nauka Polska” nr 4 (1954).

³⁾ J. Szczemiowski, *Budowa jądra ato-mowego.* 1947, s. 90.

⁴⁾ Bronisław Baczkę, *W sprawie dróg kształtowania się światopoglądu w polskiej demokratycznej myśli społecznej połowy XIX wieku.* „Myśl Filozoficzna” nr 4 (1955), s. 63.

⁵⁾ Konstanty Eubelski, *List otwarty do Pana Juliusza Łady.* „Dziś i Jutro” 5 grudnia 1944 r.

⁶⁾ Tamże.

WIERŚZE BIAŁORUSKIE

PETRUS' BROWKA

* * *

Gdybym nagle stał się sosną
Na wierzchołku góry
I zieloną głową wznosił
Sięgałbym pod chmury —
To bym wiatru chwycił słowa,
Witałbym się z niebem,
Pół rozległych bym pilnował,
Które szumią chlebem.

Gdybym studnią był przypadkiem,
Co przy drodze stoi —
Wody miałbym pod dostatkiem,
Wszystkich bym napoił.
Ach, zebrałoby się mnóstwo
Dziewcząt przy mnie młodych
I patrzyłyby, jak w lustro
W srebro mojej wody.

Łąką być mi, gdzie szczęśliwe
Dokazują dzieci!
Jeśli to jest niemożliwe,
Chciałbym być na świecie
Chociaż trawką, która drzemie,
By już tak pozostać —
Byle z moją matką-ziemią
Nigdy się nie rozstać!

MAKSYM TANK

Pozostań takim, miły!

Na próżno, mój najmilszy,
Piosenki dla mnie szukasz,
Nie znajdziesz nigdzie lepszej,
Od tej, co w sercu noszę.

Na próżno mnie po nocy
Do domu odprowadzasz —
Rozświećtał przecież zawsze
Mą ścieżkę wielka radość.

Na próżno chcesz mnie chronić
Przed zimnem i przed deszczem —
Wiosennym słońcem miłość
Ogrzewa moje serce.

Na próżno obejmujesz
I unieść chcesz pod gwiazdy —
Mój miły, wyżej szczęścia
I tak mnie nie uniesiesz.

Lecz choć bez przerwy mówię:
„Na próżno“ i „na próżno“ —
Pozostań takim, miły
I nigdy nie bądź innym!

* * *

Strumyk przemyka figlarnie,
Wszystko do niego się garnie —
Refleks przyrody i spójność:
Ptaki ponad wierzbami,
Słońce, pasemka obłoków,
Skał zamyślonych granit.

A ja biorę inną nutę,
Nie śpię tak beznamiętnie.
Szczęście zobacz, czy smutek,
Spojrzenie wesołe, czy smętne —
Od razu: i radość i gniew
Burzą mi serce i śpiew.

JAKUB KOŁAS

Będzie burza

Noc. A na niebie chmur gęstych ulewa,
W trwożnej rozmowie kołyszą się drzewa.

Liście lekliwie o swych tajemnicach
Szeptają... Już skrył się róg złoty księżyc.

Groźny błysk niebo zaczyna ogarniać,
Piorun wysyła potężną swą armię,

Chmury zniżają się czarne i głuche...
O burzo! Wstrząśnij świat wreszcie wybuchem!
(1912)

Wiatr

Wietrze, wietrze niespokojny
Pędzisz poprzez drzewa,
Wciąż te same bajki, pieśni
W ludzkie serca wlewasz.

Nad ubogą chatką staniesz,
Westchniesz nad jej dolą,
Albo też zajęczysz głucho,
Niczym chłop nad rolę.

W mrok załków, gwiżdżąc, wpadniesz,
Smutkiem niepojętym,
Albo groźnie w drzwi zapukasz
Gniewnie uśmiechnięty.

Wietrze, bracie niespokojny,
Jesteś zawsze obok —
Śmiech i tży dziś porozrzucę
Polem idąc z tobą.
(1908)

.Wiosna

O, wiosno, wiosno,
Wrócisz znów,
Wyczekiwana wiosno.

I znowu
Twych strumieni śpiew
Przyjaźnie nas powita.

Rozśpiewa się
Zbudzony las
W zieleni swej... A łąka

Zapachnie
I rozwichrzy się
Czupryną bujnej trawy.

I błyskawica
W gęstozę chmur
Rozpruje nagle niebo,

Pierwszy grzmot
Jak muzyka
Tajemnie się przetoczy.

Zmyje ziemię
Srebrny deszcz,
Orzeźwi ją, upoi...

Przyroda
Zmartwychwstanie znów
I młodość z nią powróci.

Lecz ty
Nie możesz do mnie przyjść,
Młodości upragniona!

Wyczekiwna wiosno!
Ty —
Ty jedna tylko wrócisz.
(1910)

Przełożył WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

SPÓR O ROZUMIENIE KULTURY

(Dokończenie ze str. 1)

kresie nasi katolicy postępowi należą do wspomnianego nurtu postępowego politycznego, ale w zakresie kultury duchowej wyraźnie przeciwstawiają się materializmowi.

Wreszcie, czy komunizm w naszym kraju i w ogóle w świecie stanowi rzeczywistość w zakresie kultury — bo to nas tutaj interesuje — pod każdym względem nurt jednolity? Weźmy sprawę religii. Czytamy w „Po prostu”, że „pozostawienie religii, gdy się rozumie jej moralne konsekwencje, prowadzi do wewnętrznej dezercji sumienia, do zawady człowieczeństwa i ciężkiej ludzkiej godności”. Czy ten pogląd można uważać za wyraz jednolitego nurtu wśród komunistów świata w sprawie religii?

Nie chodzi na tym miejscu o to, aby dać gotową dogmatyczną odpowiedź wyprowadzoną z pism klasyków marksizmu. Chodzi o to, że myśl filozoficzna nie może się wahać przed stawianiem tych pytań i przed szukaniem odpowiedzi przy pomocy analizy zjawisk religijnych w masach ludzkich; nie może się ona zadowalać cytacjami z klasyków marksizmu na temat religii. Myśl filozoficzna, która by się od tych zagadnień uchyliła, uchyliłaby się od analizy istotnych zjawisk kultury współczesnej, gdyż chrześcijaństwo jest w kulturze współczesnej poważnym i wcale nie pokonanym jeszcze rywalem komunizmu, nawet w szeregach partii komunistycznej. Zapytajmy czy wszyscy komuniści są zgodni co do tego, że z historycznych tradycji moralnych Europy należy wyeliminować krzyż i postać Chrystusa a pozostawić mitologię grecką? Czy zgodni są co do tego, że integralne odcieście się od tradycji chrześcijaństwa jest rzeczywście ułatwieniem drogi wychowywania nowego człowieka komunizmu wśród młodego pokolenia w krajach o chrześcijańskiej przeszłości? Czy wreszcie zgodni są również co do tego, że nienawiść do wroga klasowego i miłość dla klasy robotniczej stanowią wystarczającą podstawę moralności?

Postawiłem takie pytanie, gdyż do rozumienia tego, co się zawiera w pojęciu kultury, nie dojdzie się inaczej, jak tylko przez refleksję nad konkretnymi zjawiskami w społeczeństwie historycznymi nurtami kultury. Wiadomo, że pojęcie kultury chrześcijańskiej, traktowane w publicystyce politycznej krajów kapitalistycznych jako synonim tzw. „kultury atlantyckiej”, jest narzędziem w politycznej walce, jaka się toczy we współczesnym świecie. Ta prawda nie przekreśla jednakże innej, że kulturę socjalistyczną budujemy z historycznego budulca przeszłości i dobre poznanie tego budulca obowiązuje nie tylko w zakresie kultury materialnej, lecz także w zakresie kultury duchowej. Światopogląd religijny chcemy zastąpić przez naukowy; trzeba więc dobrze przygotować nowy budulec i fundamenty, których potrzebuje.

Można nie stawiać takich pytań i ograniczać się do sprawy: czy w artykule Chałasińskiego nie ma błędnych sugestii na temat „niedostatecznego zasobu kategorii marksizmu” lub czy w obrębie marksizmu możliwe i pożądane są szkoły. Cóż by to jednak oznaczało? Chyba nie innego, jak tylko to, że nadal zamykamy się w ramach zagadnień interesujących małe grono specjalistów, a nie dotykamy zagadnień kultury współczesnej, nurtujących szerokie masy nie tylko naszego kraju. Zaczniemy zajmować się konkretnymi zagadnieniami masowej kultury naszej epoki, a na tym gruncie przyjdzie odpowiedź czy „kategorie” marksizmu wystar-

cząją i czy marksizm zachowa charakter „dużej szkoły” czy też w jego ramach ideologicznych i nieideologicznych zrodzą się różne naukowe szkoły humanistyczne. Ze spekulacji socjalistycznych rozdzieli się schizmy i herezje; szkoły naukowe posuwają — naprzód rozwój nauki. Powstawały zawsze na gruncie niepokoju intelektualnego wobec konkretnych zagadnień życia i człowieka.

Krzyżowanie się wielu różnych nurtów w kulturze współczesnej jest rzeczywistym a nie fikcyjnym stanem rzeczy. Dyrektywa Lenina o nurcie demokratycznym i antydemokratycznym w kulturze narodu jest poprawna, ale nie wyczerpuje całej złożoności zjawisk kultury współczesnej i nie miała tego celu.

Warto zwrócić uwagę na zasadniczą różnicę, jaka występuje pomiędzy konkretno — poznawczym stanowiskiem Lenina a scholastyczną postawą wielu obecnych kontynuatorów teorii „dwóch nurtów”. U Lenina teoria dwóch nurtów rozdziła się z analizy współczesności, z analizy ówczesnej społeczno — politycznej sytuacji, a nasi metodolodzy dogmatyzują tamtą leninowską teorię drogą abstrakcyjnych spekulacji historyzoficznych, dając klasyczny przykład odrywania swojej myśli naukowej od zjawisk rzeczywistości współczesnej, przykład odrywania teorii od praktyki.

*

Tytuł artykułu prof. Schaffa mówi o „badaniach kultury”, ale całą swoją treścią dowodzi, jak trudno jest autorowi przejść od teorii „bazy i nadbudowy” do konkretnych zagadnień kultury współczesnej zarówno Polski Ludowej, jak i całego świata. Artykuł obiecujący czytelnikowi refleksje o badaniach kultury, sprowadza się w swojej treści do omówienia związku teorii „dwóch nurtów” z teorią bazy i nadbudowy. Nie jest to przypadek. Szkolenie ideologiczne i metodologiczne nie tylko pracowników nauki, lecz w ogóle inteligencji i młodzieży studiującej, tym było nacechowane, że traktowano o kulturze w ramach abstrakcyjnej kategorii „bazy i nadbudowy”, a nie w terminach konkretnych zagadnień kultury współczesnej. Szkolenie to nie tylko nie przybliżało do badania konkretnych zagadnień kultury, lecz oddalało od rozumienia pojęcia i problemu kultury duchowej, co znajdowało swój wyraz w zniknięciu tego problemu nie tylko z „Myśli Filozoficznej”, lecz także z filozoficznej problematyki całej polskiej humanistyki marksistowskiej. Spór o teorię dwóch nurtów w kulturze ma charakter bardziej ogólny i zasadniczy. Jest to spór o rozumienie kultury w jej stosunku do człowieka i społeczeństwa.

Czy rzeczywiście kultura duchowa przestała być problemem dla naukowej myśli humanistycznej, ponieważ teoria bazy i nadbudowy wszystko już wyjaśniła? Czy kultura umysłowa naszego społeczeństwa (którego czasopiśmiennictwo składa się z periodyków politycznych, specjalnych czasopism naukowych i tygodników społeczno — literackich) odpowiada rzeczywistej potrzebom naszej epoki? Prześledźmy zawartość naszych czasopism i zapytajmy ile w nich miejsca zajmuje problem roli nauki w dalszym rozwoju kultury duchowej człowieka? Pisarze epoki pozytywizmu rozumeli lepiej niż nasza obecna scholastyka literaturoznawcza, że w tej właśnie sferze — stosunku nauki i kultury — tkwi dominujący problem współczesnej epoki.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Janusz Kuczyński, „Urok wiary. „Po prostu”, 18 września 1955.

O problemie, którego nie wolno przemilczeć

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Przeżywamy okresy nagłego zainteresowania się życiem kulturalnym Śląska i Zagłębia — po czym nadchodzą dni posuchy, dni chude, w których pisma centralne nie znajdują nawet spaliny na sprawy Śląska. W tłustych dniach udaje się nawet założyć nowy teatr w Sosnowcu; w dniach chudych — co fa się subwencje obiecanej temu teatrowi i odbiera się przydziały na przyznane aktorom mieszkania. Wówczas, gdy ktoś chce atakować bezkarnie, atakuje oczywiście repertuar tego teatru, jakby nie wiedział, że zależy on głównie od rodzaju i ilości zespołu aktorskiego.

W dniach chudych, jeśli jest jeszcze ochota i odwaga — rozpoczyna się kontrofensywa i Śląsk walczy o to, co tu jest potrzebne, i o czym dobrze powinien wiedzieć każdy pracownik warszawskich centrów.

DECYDUJĄ ODBIORCY

Przejdźmy do Nagród Państwowych, która to instytucja, bywało, chwiała się niekiedy w naszej opinii. Może ktoś niedocenia co to znaczy, ale to dużo znaczy, to ważna sprawa. II Zjazd Partii i III Plenum KC PZPR głośno i dobitnie i niedwuznacznie przypominało o pewnych zaniedbaniach sprawach — więc postanowiono, by przy omawianiu kandydatów do Nagród Państwowych, zapytać o zdanie ogół, społeczeństwo, związki twórcze.

Długo. Zebrałiśmy się raz i drugi, zasięgnięliśmy języka u czytelników.

ników, zastanowiliśmy się głęboko — i przesiadaliśmy w Komitetu Nagród Państwowych, by przyznać tę zaszczytną nagrodę zasłużonemu pisarzowi i działaczowi, towarzyszył Janowi Brzozie. Poparły nasz wniosek władze wojewódzkie, pochwałyły za wybór kandydata.

Wniosek poszedł — nagroda nie przysła.

DLACZEGO BRZOZA?

Brzoza urodził się w grudniu 1900 roku. Przeżył całą nędzę jaka tylko była do koza. W 1926 roku, wraz z matką, wyciekł pod lwowski więzieniem na morient, w którym można będzie ojcu, socjaliście, więzionemu za „wywrotowe idee” podać gorącą polewkę. Cień murów więziennych padł na głodne, odarte ze złudzeń dzieciństwo Brzozy. Podawał on piłki na kortach tenisowych, wskakiwał z plikiem gazet pod pachą do rozpedzonych tramwajów mając osiem lat przeżył śmierć udręczoną do ostatka matki, spędzał noce w straganiskich budach, przeżywał skwar i mróz nędzarzy.

Gdy Brzoza kończył piątą klasę szkoły powszechnej, w 1914 roku, powołano jego ojca, cieślę, do wojska. Brzoza musiał porzucić szkołę, „poszedł do terminu”, do warsztatów szewskiego. Zaczął od wskokowania cienkich, mocnych sznurków, od moczenia skóry, zamiatacia... Nocami, przy ogarku świeczki, czytał łapczywie książki, ale wówczas nie nawoływano do czytania książek, tak jak to się dzisiaj czyni. Pan „majster” nakrył go

kiedyś — i za czytanie i wypalanie szewskiej świeczki — wyrzucił.

Brzoza rozpoczyna pracę w magistracie, jako goniec. Ciula grosiki, postanowił bowiem, że jednak skończy siedmioklasową szkołę. Za mało było groszy, nie udało się. Zaczyna pracę na poczcie, a gdy po roku ojciec wraca z wojny, bierze syna do pomocy przy cieśle. Zarobki pozwalają na zapisanie się do szkoły przemysłowej. Po trzech latach Brzoza zdaje egzamin wstępny do wymarzonej od lat szkoły średniej. Obliczył, że tyle marek ile posiada, wystarczy na ukończenie nauki.

Dewaluacja zmienia markę — w stos bezwartościowych kolorowych papierków. I znowu zaczyna się bieganie po kortach, noszenie cegieł, mieszanie wapna, kradzione nocem godziny nauki.

Maturo Brzoza zdaje w trzydziestym roku życia.

Zaczyna pisać, wysyła do redakcji tuziny wierszy, redakcje wysyłają je do koza. W 1926 roku, przechodząc ulicą, ujrzał w gałbocie redakcyjnej wywieszoną gazetę; na jednej z kolumn był jego wiersz „Głód poety”...

PO MATURZE

Nie płaci za mieszkanie, chodzi w podartych butach, dorywczo pracuje przy robotach ziemnych, potem odkłada łonałę i rozdzaje ulotki Ossolineum. Nosi na plecach i pierśsiach ogromne, sięgające bruku deski z barwnym napisem, że Żyłki Polu najlepiej gołą, lub że Ciano Sucharda jest najlepsze na świecie. Pod taką tablicą mdleje z głodu któregoś dnia i pada na ulicy.

Instytut Gospodarstwa Społecz-

nego ogłasza konkurs na „Pamiętniki bezrobotnych”. Brzoza napisał swój pamiętnik, oznaczony numerem 55 i otrzymał pierwszą nagrodę (1933). Rozpoczyna pracę nad powieścią „Kamienice czynszowe”. W 1935 r. rozpoczyna druk tej powieści w odcinkach gazety „Dziennik polski”.

Zainteresował się Brzozą Związek Pisarzy. Na wieczorze autorskim, ubrany w ogromną, wypożyczoną u jakiegoś kelnera kapotę, Brzoza czyta fragment dramatyczny, „Szyb Zosia”, z życia robotników zagłębia naftowego. Z „Kamienicy czynszowej” rodzi się jedna z najlepszych powieści dwudziestolecia, „Dzieci”, niezwykle głębokie studium socjologiczne, objawiające niepokojący surowy, naprawdę wielki talent pisarza robotniczego.

Gdyby Brzoza mieszkał w Warszawie dzisiaj, ukazałoby się już kilkanaście artykułów na temat, że Jan Brzoza, proletariacki pisarz dwudziestolecia, wprowadził do literatury tego czasu postacie robotników, z ich konfliktami, marzeniami, ich walką o lepszy świat. To samo znajdujemy w jego powieści „Budowali gmach”, w sztuce z życia zagłębiowskich górników „Załoga A”, gdzie autor odnajduje drogę górnikowi od poczucia krzywdy nędzy i wyzysku — do konieczności buntu i walki. W 1934 roku cenzura zdjęła tę sztukę z afisza Teatru Śląskiego w Katowicach.

W Związku Radzieckim, w 1939 i 1940 roku, Brzoza pracuje w Wydawnictwie Mniejszości Narodowych. Jest współredaktorem organu Związku Pisarzy Radzieckich we Lwowie, „Almanachu literackiego”. Potem wojna, ukrywanie się, nędza, spotkanie twarzą w twarz z faszyzmem. Nowe cierpienia i nowe doświadczenia, prostowanie dalszej drogi.

Rok 1944 — Lwów wyzwolony,

Brzoza pracuje w „Czerwonym sztandarze”, współorganizuje Związek Patriotów Polskich; jest członkiem głównego zarządu ZPP. Komisja szkolna poleca mu opracowanie cytanki polskiej dla III klasy szkół powszechnych. Wraz z teatrem lwowskim Brzoza przyjeżdża do Katowic.

OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIE

Pracuje w „Trybunie Robotniczej”, redaguje dodatek „Po pracy”. Pracuje w Polskim Radio. Pisz recenzje teatralne, tłumaczy wiersze (zna świetnie język ukraiński). Musi wyżyć liczną rodzinę, kilkoro dzieci, trzeba na to zarobić, nie ma czasu na pisanie. W 1947 r. dostał nagrodę miasta Katowic. Powstaje stopniowo spory tom opowiadań, rysujących w niezwykle przejrzysty sposób drogę pisarską Brzozy — „Ręce i kamienie” (Wydawnictwo Literackie, 1953). Ukazuje się wznowienia książek, które wytrzymały próbę czasu — dwa wydania „Dzieci” (trzęcie wydanie w „Mewie”, w 1946 r. i „Budowali gmach” w 1950 r., Książka i Wiedza. Na antenie wchodzi dobre słuchowisko Brzozy, jedno świetne, oparte na wydarzeniach 1905 roku, „Drukarnia”.

W 1953 r. wychodzi w MON nowa powieść „Dziwoty batalion”, niedoceniona, przemilczana, skrzywdzona. Znowu bohaterem powieści jest „zwykły chłop”, znowu Brzoza wzrusza swą „niedzą o życiu prostych ludzi, swoim dziwnym surowym liryzmem, pisarstwem mającym styczność z twórczością Gorkiego, romantyzmem — który na zawsze u Brzozy pozostał — robotniczego dziecka, które swą krzywdą, swymi łzami, oskarża świat za jego okrucieństwo. Brak wykształcenia, oddalenie od warszawskiego środowiska pisarzy postępowych i ich wpływu — nie pozwoliły zająć

Brzozie, w dwudziestolecie, takiego miejsca jak Kruczkowski i Wasilewski. Lecz pisarstwo Brzozy, to narodziny najcenniejszego nurtu w naszej literaturze, to most wiódący do narodzin realizmu socjalistycznego. Ta droga zawiodła go do Związku Patriotów Polskich, do redakcji „Czerwonego Sztandaru”, do PPR, do PZPR.

Po powrocie ze Lwowa zaczął pisać dużą powieść o repatriantach z Bugu, pt. „Ziemia”. Miedliły ją, gniotły, maglowały różne wydawnictwa; niszcza powieść do dzisiaj, kaleczy. To załamało Brzozę na pewien czas, i dręczy go do dzisiaj. Bo niby drażliwy temat, sakramencie mieszczuchy, repatrianci, Jusus-Maria, co on za temat wybrał! Jakby w ogóle mgły nie było repatriantów placzących wówczas za swoim skrawkiem ziemi, w wlokących się tygodniami, nieopalanymi wagonach, jakby Szolchów nie poruszał drażliwych tematów!

POSŁOWIE

Toteż można było śmiało przyznać Nagrodę Państwową Brzozie za całokształt jego pracy literackiej. Niedawno umarł w Zabrze-Kończycach, na Śląsku, w nędzy i opuszczeniu — przedwójny działacz komunistyczny, pisarz proletariacki Michał Ruskini, autor powieści z życia zagłębiowskich górników i bezrobotnych „Pielegniarka” której fragmenty drukowało postępowe „Studio” pod redakcją B. Kuczyńskiego w 1937 roku, między wzruszającą odczwą Zofii Nałkowskiej „Głos wywołujący pokój” a powieścią Mortona „Śmierć mojej matki”. W redakcji „Studio” zaginął rękopis tej powieści. Gdyby Brzoza nie mieszkał dziś na prowincji, nie zapomniabył Ryszard Matusewski wspomnieć o nim choćby w jednym zdaniu, w „Literaturze niedziwowej”. Literatura jest odbiciem rzeczywistości społecznej — pisał tam Matusewski, a Brzoza odtł w swych książkach tę rzeczywistość. Należy szybko, jak najszybciej wyrównać wielką krzywdę wyrządzoną Brzozie, pisarzowi wyrosłemu z robotnika i piszącemu o robotnikach, pisarzowi z krwi i kości robotniczemu.



Z malarstwa chińskiego

SIU BEJ-HUN
(współczesny malarz)

1. Pejzaż
2. Koń przy wodopoju
3. Konie
4. Chłopczyk i bawół



給亮是之新新用殘隔遠居過由子月二
給亮是之新新用殘隔遠居過由子月二



JERZY PUTRAMENT



PLANOLATRIA

Czy wiecie, jak była zorganizowana najwyższa władza wykonawcza wśród bogów antycznej Grecji? Dosyć racjonalnie. Już wtedy przyjęła się zasada indywidualnej odpowiedzialności za sprawy jednego resortu. Tak więc Ares (czyli Mars, w wersji łacińskiej) kierował resortem Obrony Narodowej, Posejdon — resortem Żeglugi, Temida — Sprawiedliwości. Demeter stała na czele zjednoczonego resortu Rolnictwa i Państwowych Gospodarstw Rolnych, Hermes — na czele Handlu Zagranicznego i Wewnętrznego, Hefajstos — na czele resortu Hutnictwa. Już wtedy istniał — niestety — resort Kultury i Sztuki z Fojbosem-Apolinem na czele, jednoczący dziewięć centralnych zarządów, dowodzonych przez tyluż muz.

Wszystkie te resorty podlegały, jak wiadomo, Zeusowi, którego stanowisko z grubsza odpowiadało naszemu Prezesowi Rady Ministrów. Trzeba przyznać, że pod pewnym względem organizacja władzy olimpijskiej była prostsza od naszej: Zeus jakoś dawał sobie radę bez wicezeusów.

Ale nie ta różnica jest ważna. Ważniejsze jest pewne podobieństwo. Oto ponad świątelną konkretnych, żywych bogów, którzy lubili zjeść i wypić, którzy nawet miewali różne wybryki natury moralnej, rozchodzili się z żonami i tak dalej — otóż ponad tym barwnym i konkretnym światem żywych bogów, przyjmujących modlitwy i podania ludzkie, istniało jeszcze coś innego. Istniała potężna i przeraźliwa siła. Istniała bezbarwna, beztwarzowa, bezwonna, pozaczasowa, niezlokalizowana — i tym straszliwsza potęgą: Mojra, Los, Przeznaczenie.

Bogów można było przebłagać. Bogowie się zgadzali. Ale ich zgoda była tylko miłą rozrywką towarzyską. Ich zgoda nie nie znaczyła, jeśli nie zbiegała się z decyzją Mojry. A od czego ta mojrowska decyzja zależała — nie wiedział nikt ani z ludzi, ani z bogów. Co gorsza, te decyzje były nieodwołalne. Jak zresztą można by się było od nich odwołać, skoro sama Mojra nie miała ani miejsca, ani — oczywiście — czasu.

Porównując tamtą epokę z naszą nie można się powstrzymać od okrzyków słusznej dumy. Bo przecież te kilka tysięcy lat od epoki olimpijskiej nie poszło na marne. Tamtą Mojra była beztwarzowa. Nasza ma tych twarzy parę tysięcy. Tamtą Mojra była pozaprzeznaczona. Nasza — jak najściślej zlokalizowana. Ba, i jak jeszcze! — cała pierwsza Warszawa DU! Przeciw tamtej nie wolno było pisać. A przeciw naszej właśnie ustępuje...

O, bynajmniej, nie przeciw samej zasadzie gospodarki planowej. Nie przeciw PKPG w ogóle. Zdaje sobie sprawę z decydującej roli planu, jako bodźca dźwignia gospodarki w skali państwowej.

Wydaje mi się jednak, że i w tej sprawie w ubiegłym okresie popełniono u nas pewne, dosyć poważne błędy. Przede wszystkim właśnie dokola PKPG narzucono nakaz balwochwalczego milczenia. I jeśli nawet — powtarzam — sama zasada gospodarki planowej musi być u nas poza dyskusją, jako nieodłączny element społeczeństwa socjalistycznego — to przecież nastąpiło u nas przesadne rozszerzenie tego immunitetu dyskusyjnego z zasady — na jej wykonywanie, na jej wykonawców, nieomal na samo miejsce geograficzne, gdzie się dokonuje takiego planowania.

W wyniku tej przesadnej ochrony przed dyskusją wszystkiego, co zahacza o planowanie, nie tylko mogło, ale musiało dojść do takich czy owakich wypaczeń w planowaniu, o których zaczynamy teraz czytać w gazetach.

Sprawdza się one z grubsza biorąc, do odgórnego, drobiazgowego planowania nie tylko w przemyśle, ale i w rolnictwie. Tysiąctwarzowa Mojra, siedząc sobie w Warszawie, po kilku latach przerażonej ciszy dokola siebie, zaczyna wierzyć, że wie lepiej, co się uda na każdym kawałku gruntu w zapadłej wsi. Nie pytając autochtonów, nie radząc się nikogo, zaczyna ona odgórnie, centralnie planować każdą grządkę cebuli, każdy dziesiętek jaj. Madre to?

Właśnie taka „mądrość“ może zamienić zbawienne lekarstwo gospodarki planowej na groźną truciznę. Jeśli taki odgórny plan trafi w ręce głupiego wykonawcy — skutki mogą być wprost przeciwnie intencjom.

Jak wiadomo, wpływ mocy pozaludzkich na produkcję jest o wiele większy w rolnictwie niż w przemyśle. Może to zaś nie trzęsą portkami przed PKPG.

A durni tego nie widzi. Durni dostali plan i przed tym planem pada na kolana, jak przed fetyszem.

Na przykład plan odłowu leszcza w dużym jeziorze. Leszcz — to mądra ryba. Jest bardzo wrażliwy na

hałas, krąży legendy, że otoczony siecią dokonuje brawurowych skoków i nawiewa z najcięższych opresji.

Ale i na niego raz do roku nachodzi szalenstwo. W ciemnym średniowieczu okres jego tarła był otoczony powszechnym szacunkiem: w Szwecji np. zakazywano bić w dzwony w kościołach, byle by go nie płoszyć.

A u nas, na wielkim jeziorze, rybacy czyhają na tarło leszcza, by ciągnąć niewód, wylapać rybę przed tarłem, albo zniszczyć złożoną na dnie ikrę. Bo w ten sposób, z a t a k a c e n ę chcą się popisać wykonaniem planu.

W przekładzie na język przemysłowy oznacza to wykonywanie planu zbioru tonu metalowego przez oddawanie na łom czynnych obrabiarów.

Na inny zespół jezior spadła klęska: lód za gruby, na płytkich obszarach ryba wyzdychała z braku tlenu.

Ale plan odłowu ma być wykonywany. To znaczy — na tych ocalałych jeziorach trzeba odłowić dwa razy więcej. To znaczy człowiek ma podwoić kłeskę żywiołową — świadomie, planowo. Bo nikt na szczeblu osiągalnym dla danego zespołu rybackiego nie odważy się uwzględnić faktów, napiąć się przed wyższą siłą mrozu, to znaczy plan dostosować do realnych warunków.

To są drobne przykłady. Same w sobie nic nie znaczą, nie ważą na szalach losu naszego narodu. Ale przecież takich przykładów można nabierać setki i tysiące. A wtedy rzecz nabiera wagi politycznej.

Obawiam się na przykład, że na skutek mechanicznej, nieuwzględniającej lokalnych warunków akcji „planowych“ zasiewów kukurydzy — znajda się u nas środowiska wiejskie, w których na przyszły rok zasiewy tej tak ważnej rośliny będą o wiele trudniejsze do przeprowadzenia niż w tym roku.

Bo w tym roku czasem kukurydzę tę narzucono odgórnie, nie patrząc na jakoś roli, na mikroklimat, nasiona itd. — byle by plan mechanicznie wykonać.

A tymczasem w tym właśnie sęk, że plan to nie mechanizm. To nie abstrakcyjna formułka. To nie papiererek.

Jeśli chcemy, aby plan rzeczywistości stał się dźwignią socjalizmu w naszym kraju — traktujmy go jako żywego człowieka. Plan to nasz sojusznik. Plan jest dla nas. A nie my — dla planu, jak chciałby bezduszny biurokrata.

Gdy widzimy, że w jakimś choćby najmniejszym szczególe naszego życia plan hamuje, wypacza nasze życie — przestańmy dopatrywać się w tym jakiegos fatalizmu, wyższej racji stanu, ukrytej mądrości. Po prostu poszukajmy najbliższego durnia, który z nim miał do czynienia. I uwierzmy raz na zawsze, że pouczenie człowieka niemądrego jest w naszym kraju zawsze możliwe, choć nie zawsze łatwe.

Oczywiście, ta zamiana ślepego balwochwalcztwa na świadomy szacunek nie jest prosta. I w niej kryje się swoiste niebezpieczeństwo: różni cwaniacy gotowi są ciągnąć z tego osobiste korzyści, wykręcać się przed cwaniakami.

Tak, ale czy myślicie, że ślepy, balwochwalczy stosunek do planu, obowiązujący do niedawna — dawał nam absolutną gwarancję przed cwaniakami?

A jakże. Dla cwaniaka nie ma takich ry orów, przez które by nie przeskoczył, takich zamków do których by nie dobrał wytrycha.

Nie uzależniamy naszej polityki od możliwości cwaniackich sztuczek. Polityka powinna uwzględniać przeciętnego obywatela. To znaczy człowieka uczciwego. A na cwaniaka powinna starczyć milicja.

To wszystko nie znaczy, że buntuję się przeciw wykonywaniu trudnego planu. Wiemy, że w obecnej chwili najważniejsze gałęzie naszej gospodarki tylko pracując z najwyższym wysiłkiem potrafią utrzymać poziom produkcji dający nam jakieś takie możliwości żyć. Daleko nam jeszcze do zaspokojenia najważniejszych ludzkich potrzeb — i innej drogi, jak wykonywanie planu — nie mamy.

Innej drogi nie mamy — choćby takie wykonywanie wymagało od naszej klasy robotniczej najwyższego wysiłku, najwyższej ofiarności i bohaterstwa.

Plan decyduje — czy uda nam się zbudować socjalizm. I właśnie dlatego ważne jest, abyśmy przestali się odnosić doń, jak do fetysza. Ważne jest, aby się stał przedmiotem powszechnej uwagi, troski, aby stał się tematem rozmów, sporów, kłótni. Aby przestał być kłopotem urzędu, który go płodzi i wszystkich innych urzędów. Aby stał się kłopotem i nadzieją całego narodu.

4 Przegląd kulturalny

30 kwietnia

Pokój, który zająłem, to normalne, jednorodzinne mieszkanie kibucowe: ma werandę, toaletę, łaz, łazienkę, gdzie jedno z małżonków może się odosobnić, sporo wreszcie książek i obrazów — nie reprodukowanych, lecz oryginalnych: w Izraelu istnieje — o dziwo! popyt na malarstwo. Przez odrutowane okno widać klomby, grządki i gospodarskie zabudowania: wieżę ciśnienia, kurnik z inkubatorami, stajnię, której czyste już podziwiałem, dziecięcinę wreszcie i szkołę kibucową. Oto właśnie wysypała się z niej gromadka młodzieży: rułując z arabską „r“, klócąc się z wzięciem o to, jaką warstwę społeczną odwiedzieli w swych pismach rabi Mosze Ben Majmon, wielki uczone hebrajsko — arabski z XI wieku, którego jubileusz przypada na rok obecny. Niektórzy z nich obliczają nieomal dochody rabiego, aby wywnioskować, czy nie był przypadkiem „klasowym wrogiem“.

Wychodzę na dwór, aby zawiadzić z nimi bliższą znajomością. Dyrektor, który znajduje się właśnie na podwórzu, czyni mi honory domu.

— Nauczanie — wyjaśnia oprowadzając mnie po budynku — zasadza się u nas na systemie marksistowskim. Przedmiotem zasadniczym jest historia; dookola niej opłatają się inne nauki. Na każdej lekcji nauczyciel daje uczniom swoisty koncentrat z ekonomii, historii, kultury i językoznawstwa. Wiadomości tych nie narzuca autorytatywnie, lecz prowokuje uczniów pytaniami do samodzielnego odkrywania i dyskusji. Nie ma też stopni i świadectw. Przejście z klasy do klasy odbywa się automatycznie...

— Czy nie obniża to poziomu nauczania?

— Nie wychowujemy intelektualistów, lecz robotników. Młodzież naszą przeznaczamy nie do wykonywania zawodów w mieście, lecz do własnego użytku. Po odbyciu służby wojskowej wrócą do nas lub też założą nowy kibuc w Negewie. Poza nielicznymi wyjątkami nie stać nas niestety jeszcze na to, aby dać im wyższe wykształcenie; co najwyżej kierujemy niektórych na kursy dokształcające, na seminaria nauczycielskie itp.

Na myśl przychodzi mi czytane niedawno „Życie termittów“: Maeterlinck pisze tam o termittach jako o swoistej osobowości kolektywnej, której organami są poszczególne indywidua.

— Młodzież nasza — ciągnie dyrektor, jakby odgadną moją myśl — jest niezwykle solidarna i zdolna do ofiar. Było rzeczą nie do pomyślenia w czasie wojny 1948 r. aby któryś „sabra“ zostawił rannego towarzysza na placu boju i nie wyratował go choćby z narażeniem życia. Są tak zrośnięci z sobą, jakby mieli jedną kolektywną duszę. Za to też są prości od nas i bardziej bezpośredni. Między nami a nimi istnieje — prawdę powiedziawszy — przepaść. To już nie Żydzi, ale — andrusy — dodaje z melancholią, ale nie bez dumy.

Nagle spogląda z paniką na zegarek: trzeba śpieszyć na obiad. Za godzinę ma się odbyć uroczysty apel młodzieży z okazji 1 maja. Właśnie o jutrzejszym pochodzie tedy się rozmowa w oświeżeniu udekorowanej stołówce. Komuniści wystosowali mianowicie do Ma-

pamu — partii lewicowo-socjalistycznej, do której należy kibuc — propozycję wspólnej demonstracji; wciąż jednak istnieje rozbieżność co do ewentualnych haseł. Partia komunistyczna (Meki) — uznając prawo narodu izraelskiego do niezawisłego państwa — nie godzi się na to, aby miało ono stawiać sobie za cel skupienie wszystkich Żydów; Mapamowi natomiast przyswieca ideał koncentracji terytorialnej. Meki uważa Izraelczyków za naród odrębny, Mapam — za część narodu żydowskiego. Meki głosi patriotyzm izraelski, Mapam — żydowski. Meki jest za tym, aby imigra-

W miarę, jak mówię, miny wydawcy i krytyka rzędna, miny zaś poety i nowelisty rozjaśniają się. Opuśczeni stołową i rozsiadamy się na trawniku — obok rozpoczętych właśnie wykopalisk: na terenie kibucy odkryto resztki świątyni bizantyjskiej z V w. po Chr. Wtem — warkot ciężarówki. — Kto jedzie do Nazaretu? — kierowca wychyla się z budki. Decydujemy się na gromadną wycieczkę. — Nie pożałuje pan. Zobaczy pan po drodze szpital, bardzo piękny i nowoczesny — mówią mi gospodarze. Nie zdaję sobie sprawy, że Nazaret jest dla mnie ciekawszy od szpitala. Nie do-

punktu wyjechała i tak wiele razy — w kołko. Na nieprzyjaciół, którzy śledzili nas ze szczytów, zrobiło to wrażenie dużej kolumny. Ze zaś wnieśli się w to i wschodnia fantazja, więc gruchnęła wieść, że tysiące czołgów idą na Jerozolimę. Kiedy indziej znów grzechot starego żelastwa, jakim były okute nasze tanki, spowodował pogłoskę, że Żydzi są w posiadaniu tajemnej broni. A broń tajemną mieliśmy tylko jedną: „ejn breja“, brak wyjechała. Arabowie mieli z sobą pustynię, dokąd mogli się cofnąć, a my — tylko morze.

Wtem asfalt pod kołami grucze-

szetan kus! Chrystusa, aby doświadczył swej mocy i rzucił się w dół. (Matthai, IV). Tu oto — wskazuje na basen, gdzie baraszkują jego dzieci — ukazał się... po czym relacjonuje jakiś cud, z którego nie mogę już nic pojąć z uwagi na zbyt gąrdliwą hebrajszczyznę, w jakiej się opowiedział.

Co mnie jednak zastanawia, to zaniedbanie, w jakim zastają te miejsca. Tam, gdzie mieszka namiestnik Chrystusa, stoją kapłacy złotem strażnicy z halabardami; tu, gdzie mieszka! On Sam, taplają się w wodzie arabskie dzieci. W zestawieniu ze wspaniałością Rzymu

ka, ale uliczką i poprzez wirwar schodków, balkoników, zaułków wchodzimy wreszcie do bardzo schludnego mieszkania naszego przewodnika.

Natychmiast stosunek Araba do nas zmienia się z przyjaznego, jakim był dotychczas, na złośliwy. Przez cały czas naszego pobytu on i żona stoją, gotowi do usług, za naszymi krzesłami i nie można się propozycji, aby siedli. Kiedy nieopatrznie chwycę filiżankę, w której podano mi kawę, otrzymuję ją w podarunku. Ktoś ostrzega mnie na ucho, że odmówić przyjęcia byłoby śmiertelną obrazą. Rozstajemy się wśród zapewnień przyjaźni, odprowadzeni przez gospodarza aż na plac, gdzie stoi ciężarówka.

— Stosunki z Arabami — myślę wracając do kibucu — mają oni, jak widzę, nienajgorsze. Dopisek.

W zeszytach swoim znajduję notatkę — znacznie późniejszą, którą przenoszę tutaj, ponieważ dotyczy również Nazaretu.

2 sierpnia.

Spotkałem wczoraj znajomego. Jest to stary działacz komunistyczny, który wyjechał w 1948 r. z Polski, aby zaciągnąć się do armii izraelskiej. Spytał mnie, co zdążyłem obejrzeć w kraju. Odpieram, że m. in. Nazaret. A co widziałem w Nazarecie? Trochę kościołów, trochę wschodniej architektury, trochę wnetrz arabskich.

— To wszystko? — spytał. — No, nic, dam wam jutro materiały bardziej aktualne.

W istocie, zjawił się dzisiaj u mnie z kupą gazet. Przyznaje, że po ich przeczytaniu ujrzałem Nazaret w nowym świetle. To miasto — tak na pozór archaiczne — jest w istocie najbardziej skomunikowane ze wszystkich. W czerwcu 1954 r., kiedy komuniści osiągnęli tu większość w wyborach samorządowych, groziło niebezpieczeństwo, że preforsują własnego burmistrza. Aby do tego nie dopuścić, rząd Ben Guriona nie zastosował bynajmniej terroru, lecz „napuścił“ Arabów na Arabów. Posłużył się mianowicie miejscowym szekiem Al Zoabim, który — wykorzystując swoje wpływy w okolicznych wsiach — sprowadził na dzień wyborów około stu chuliganów do miasta. Ci poturbowali ławników komunistycznych, nie dopuścili ich oczywiście do Rady Miejskiej i przy okazji splondrowali lokal komunistycznej młodzieży. Przez cały czas nazaretańska policja udawała ślepa, zlekakając z interwencją, póki nie wptynie oficjalne doniesienie, którego jednak żaden z Arabów — w przewidywaniu skutków — wnieść się nie odważył. — Oto wygarnianie kasztanów z ognia cudzymi rękami — w stylu klasycznym.

Wspominam o tym wszystkim nie po to, aby atakować Izrael. Będąc jednak — przez pochodzenie i przez późniejsze losy — związany z narodem żydowskim, właśnie temu krajowi stawiam szczególne wysokie wymagania. Chciałbym mianowicie, aby ci, którzy w przeszłości tyle ucierpieli od cudzego nacjonalizmu, okazali się we własnym państwie całkowicie od niego wolni.

Pierwszą część pamiętnika drukowaliśmy w „PK“ Nr 37 z dn. 15 —21 IX. br.

tywną treścią społeczną. To wiele daje pod względem metodologicznym i bardzo mało jeżeli chodzi o konkretną wiedzę o sztuce, o jej twórcach, o przeżyciach odbiorców, o zmienności i trwałości dzieł sztuki. Zbadanie tego — to właśnie muzyka najbliższej przyszłości — to palące zadanie marksistowskiej teorii i historii sztuki.

Sztuka jest zwierciadłem i sędzią zarazem postępowania człowieka społecznego. W ciągu wieków różne dziedziny sztuki wykształciły swój kształt, wypracowały konwencje i prawa budowy obrazu poetyckiego,

w którym twórca Mory Lizy z żarliwością naukowca udowadnia istnienie matematycznych (perspektyw) i przyrodniczych podstaw tej sztuki, powołanej wg Leonarda do tego, by „zapalać“... ludzi do miłości, która jest główną stroną wszelkiego rodzaju stworzeń. Spośród Włochów tej wielkiej epoki Vasari znany malarz i historyk sztuki swoich czasów i tutti quanti nie ustawał w próbach teoretycznych uogólnienia dorobku malarstwa włoskiego, formułowali jego prawa. Byli wśród nich i tacy jak np. Lomazzo a później Francuz Pous-

cji. Potrzeba wleźć docieklivość teoretyczna, szukanie praw rządzących sztuką — towarzyszyło najbardziej odkrywczym, nowatorskim okresom w rozwoju samej sztuki. Nawet wojowniczy antyakademizm impresjonistów, zwalczanie przez nich zniechędzeni kanonów w malarstwie — nie był bezprogramowy. W „heroicznym“ i wywrotowym okresie impresjonizmu Monet mówi jednak o prawidłach malarstwa, a Renoir podkreśla, że piękno — to „sługa myśli“. Dla wielkich artystów wykrywanie praw, obrona określonej konwen-

tych dziś naiwnie). Eksplozja talentów i geniuszy artystycznych szła najczęściej w parze z teoretyczną docieklivością, z próbami uogólnienia przez samych twórców dorobku artystycznego. Mimo że piękno jest niepowtarzalne, ma własną twarz.

Liczne traktaty o malarstwie i doktryny estetyczne nie stały się kuźnią nowych talentów, ale były koniecznym zaczątkiem dla obalenia lub kontynuowania określonych tradycji w sztuce. Dowody? Żywe pomniki sztuki i wypowiedzi literackie (w różnej postaci — od listów do traktatów), które umysłami zmagając się artyści z samym sobą, z narzuconą lub zastaną konwencją, z hamującym stylem, rzucają światło na meki twórcze malarzy w toku dorabiania się własnego stylu. W „Dziennikach“ Delacroix rzuca się w oczy pasja intelektualna z jaką artysta zwalcza skostnienie klasycyzmu.

Światło rozumu przyswiecało wielkiej twórczości artystycznej minionych epok w przeciwieństwie do mroków irracjonalizmu, towarzyszących współczesnej sztuce dekadensu.

Z jednej strony obserwujemy w świecie mistrzów wielkiej sztuki próby ustalenia praw i zasad, konwencji artystycznych — z drugiej zaś strony nie szczędzą zjadliwej ironii, sceptycyzmu pod adresem tych, którzy by chcieli zbudować swoją sztukę według określonych przepisów, trzymając się niewolniczo programów szkół artystycznych. Rodin nie bez podstaw pisał, że historia sztuki — to ustawiczna walka z rutyną.

Jak wybrnąć z tego labiryntu sprzecznych sądów, do jakich wypowiedzi mamy nawiązywać? Wydaje się, w tym „rozdarciu wewnętrznym“ artystów tkwi głęboko pouczający i dla nas sens teoretycznych sporów przeszłości. Pierwsza konkluzja — należy znać owe spory, poglądy, wypowiedzi mistrzów. To może pomóc lepiej rozstrzygnąć nasze problemy dyskusyjne, nie „odkrywać“ na nowo Ameryki. Przy tej okazji warto pamiętać, że świadomość — to znamienny rys naszego życia i naszej sztuki. Dlatego nasz artysta, pisarz musi dużo wiedzieć i chcieć wiedzieć, musi przede wszystkim myśleć.

Na zakończenie kilka słów o tym, jaki związek mają owe wywody teoretyczne i sięganie „w głąb wieków“ z festiwalową rewelacją naszej sztuki, o czym była mowa na początku artykułu.

Myślę, że wieść istnieje. Ukazał się już szereg artykułów, refleksji, uwag o dekoracji Warszawy, o Wystawie Młodych. Zarysowały się już istotne różnice zdań wśród widzów i krytyków. Brak jeszcze głosów samych twórców.*

Wielu z tych co już pisali o młodym obliczu naszej plastyki zgodni są co do tego, że dekoracje i wystawy Młodych. Zarysowały się już istotne różnice zdań wśród widzów i krytyków. Brak jeszcze głosów samych twórców.*

To poniekąd kwestionuje Paolo Ricci (patrz P. K. nr 35 br.) w wojowniczym artykule poświęconym naszej Wystawie Młodych. Ostra i pouczająca jest dla nas jego krytyka weryzmu (czyli naturalizmu) w plastyce.

Natomiast sądzę, że nader dyskusyjną jest teza Ricci, że Wystawa w Arsenale nie jest ani młoda (w sensie twórczym). ani nowa, gdyż ciągną na niej różne obce wpływy oscylujące „między ekspresjonizmem i symbolizmem, między kubizmem i surrealizmem“. Możliwie, że tak jest jak twierdzi Ricci, ale to nie przekreśla wartości wystawy, jej twórczej młodości.

To co nowe, co się dopiero rodzi, jest z istoty swej dialektyczne. Podobnie jest dzieje i z twórczością artystyczną. Jej buntowniczość idzie w parze z sięganiem po wzory. To chyba dość normalna droga dojrzewania młodych talentów i nowego nurtu w sztuce.

Nie wiem jakie wpływy krążąją się w twórczości Marka Oberlandera, ale jestem osobście przeświadczona, że jego „Napiętnowani“ są dziełem głęboko przeżytych i głęboko ludzkim, wstrząsającym wielu widzów.

Ujawienie się młodych talentów

* Uwaga red.: artykuł wpłynął przed ukazaniem się wypowiedzi Celiniera i Oberlandera.

MALARSTWA MŁODYCH

SEKIEJSKA

malarskiego, dzieła muzycznego (i w tym sensie sztuka posiada wewnętrzne, specyficzne prawa). Mechanizm tych praw nie natłacza, nie uzewnętrznia, jest jak gdyby ukryty, gdyż dzieło sztuki przemawia siłą bezpośredniości, sugestijnością form samego życia.

*

Szukanie obiektywnych źródeł rozwoju sztuki, formowanie zasad twórczości artystycznej, nie jest bynajmniej „wynalazkiem“ marksizmu. Posłuchajmy głosu „starejszych“ historii. Niech przemówią fakty znane np. z dzieł malarstwa. Poczynając od najwspanialszego rozkwitu malarstwa we włoskim Odrodzeniu aż po impresjonistów i Repina — najwięksi twórcy i „odkrywcy nowych ładów“ w tej czarodziejskiej krainie barw i kształtów szukali i formułowali prawa sztuki.

Alberti pisze „Trzy księgi o malarstwie“, które są wykładnikiem praw, czyniących z malarstwa sztukę wg jego słów... „zdolną przykuwać wzrok i ducha kontemplującym“.

Do nieśmiertelnego dziedzictwa Leonarda da Vinci należy też jego synny „Traktat o malarstwie“,

sin, którzy z żywych zmiennych praw twórczości próbowali uczynić niezienne reguły, a zdobyty przez wielkich mistrzów styl przekształcić w manierę zapładniającą mienoty artystyczne. Ale w tej epoce w wypowiedziach o sztuce dominował głos wybitnych twórców buńczących dogmaty, przeziarała ich żarliwość poznawcza. Wielki Albrecht Dürer jest także autorem teoretycznych prac o malarstwie. Hiszpan Francisco Pacheco pisze dzieło „Malarstwo jako sztuka, jej dawność i wielkość“, gdzie na doświadczeniu malarstwa włoskiego i hiszpańskiego uzasadnia prawa rysunku, kolorytu, perspektywy, kompozycji itd., wg niego obowiązujące każdego artystę. Jednocześnie stale podkreśla boskość, wyjątkowość geniuszu Michała Anioła. Rubens głosi potrzebę stworzenia dzieła teoretycznego o malarstwie flamandzkim, na miarę włoskich traktatów o malarstwie. David i szczególnie Delacroix w formie literackiej nie tylko formułowali zasady własnej twórczości, ale dążyli do szerszych uogólnień teoretycznych. Jak wiadomo to bynajmniej nie obniżało lotu ich fantazji, nie hamowało ich twórczej inwen-

cji malarstwa nie sprowadzała się nigdy do zagadnień tak zw. czysto warsztatowych, do nagiej techniki. Chodziło im o ludzki sens, o idee (choć różne pojmowaną), humanizm malarzkiej wizji świata. „Barwa — to sprawa smaku i wrażliwości — pisał Manet. — Trzeba mieć coś do powiedzenia... Nie wystarczy opanować rzemiosło, należy przeżyć temat“. Rzecznicy klasycyzmu bronią prymatu rysunku, kształtu nad kolorem walcząc tą drogą o zwycięstwo racjonalizmu, o wyrażanie środkami malarstwa swoiste pojętych cnót obywatelskich.

W tej z konieczności błyskawicznej „przejażdżce“ przez epoki chodziło mi o wykazanie, żarliwości ideowej wielkich artystów, ich pragnienie samowiedzy (w zakresie własnej twórczości, rządzących nią praw) połączone ze zrozumieniem szlachetnego posłannictwa sztuki — przez piękno, barwę i rysunek trafić do serc i umysłów ludzkich, ukazywać sens ludzkiego życia. Dlatego też nie tylko sztuka Renesansu nie straciła dziś swego uroku, ale i teorie estetyczne tego czasu przemawiają do nas (mimo wielu przestarzałych myśli brzmią-

strzegają już wagi historycznej miejsc, w których mieszkają. Przywykli.

Jedziemy wśród łagodnych, czerwonych wzgórz, mijając położone na zboczach wieś arabskie, wapiennobiałe i cmentarne: na niektórych znać ślady zniszczeń.

— Tutaj — pokazuje jeden ze



współpodróżnych — toczyła się bitwa o Nazaret...

— Proszę mi wytłumaczyć — mówię — jak mogliście o tyle słabiej wygrać tę wojnę?

— A od czego ma się żydowska głowa? — odpowiadają ze śmiechem.

— Opowiem panu o jednym z naszych forteli. Droga do Jerozolimy biegnie serpentyną, bardzo krętą. Szczyt nad nią zajęte były przez nieprzyjaciela. Puściliśmy tamtędy cztery tanki — wszystko, cośmy na tym odcinku mieli. W pewnym miejscu zbaczają one z gościńca i wracają do

F. I. A. F.

JERZY TOEPLITZ

Film nazywał się „La valigia dei sogni” — „Walizka snów”. Producentem filmu była jakaś mało znana włoska wytwórnia i nie grali w nim znani aktorzy. Przepraszam, grali w „Walizce snów” — Eleonora Duse. Ale o tym za chwilę. Bohaterem filmu był stary mianik, ex aktor, jeszcze z czasów niemego kina. Jedyną pasją życiową bohatera było zbieranie do odbieranej walizki skrawków starej taśmy filmowej, wykradanej chytliwym z zakładów w których przepięta się zniszczony celuloid na masę służącą do wyrobu grzebieli. W małym mieszkanku oblepionym od góry do dołu plakatami kinowymi sprzed kilkudziesięciu lat, zainstallował stary aktor przedpotopowy aparat projekcyjny i na kawałku przecieradła zawieszonym na ścianie wywoływał zjawy dawno zapomnianych gwiazd ekranu. Pina Menichelli, Hesperia, Lyda Borelli, Italia Almirante Manzini — jakże pięknie i dumnie brzmia ich imiona i nazwiska, zrodzone pod wpływem literatury wielkiego patrona włoskiej X Muzy — Gabriela D'Annunzio. Na małym skrawku płótna, w pokoiku starego aktora, odczywał splendor czasów rzymskich cesarów z okresu wojen punickich. To reżyser filmowy — inżynier Giovanni Pastrone, zwany Piero Fosco, i jego współpracownik, hiszpański operator Segundo Chomon snuli opowieść w niemych obrazach o Cabirri, córce scytyjskiego patriarchy, porwanej przez kartagijskich piratów. A raz — przez ulamek sekundy zamajaczyła na prowizorycznym ekranie postać wielkiej tragiczkiej Eleonory Duse w jednym jej filmie — „Cenere” („Popioły”) z 1916 roku.

Stary aktor bogacił swą kolekcję starych i niestety tułaczalnych taśm filmowych. I stało się uświecie — to co nieuchronnie stać się musiało. Eksplozja, pożar, katastrofa. Stary aktor, którego władze oskarżają o przechowywanie filmów w niezabezpieczonym lokalu, a po dejrzeniu o zbieranie pornograficznych sensacyjek, wyrusza do kontrataku. Stara się przekonać wysoko postawione czynniki, że jego kolekcja posiada wielką wartość kulturalną i artystyczną. Powinny się nią zaopiekować muzea, galerie obrazów, biblioteki publiczne. Z usmiechem wyższości i pobażania witają gorące przemówienia i prośby aktora — dostojni uczeni, szanowni kustosze, konserwatorzy, bibliotekarze. Filmy? A któż śmie je porównywać nawet do prawdziwych dzieł sztuki, obrazów znanych malarzy czy bezcennych manuskryptów? I co dalej uczyni stary mianik? Ale bądźmy spokojni, nie darmo w filmie istnieje „happy end”. „Walizka snów” kończy się dobrze. Stary aktor zostaje zaangażowany do filmu. Gra w nim nawet swoją własną historię, miłośnika i zbieracza starych filmów. A jego kolekcja, uratowana z pożaru, za-

jęło się nowego typu muzeum — FilMOTEKA. A w przypadku konkretnym „Walizki snów”, współproducent filmu — Cinetecca Italiana w Mediolanie.

„Walizkę snów” oglądałem rok temu w Lozannie, na specjalnym pokazie zorganizowanym z okazji dorocznego kongresu Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych. Historia starego aktora jest tylko przypomnieniem o tym jak to illo tempore bywało. Dziś już nie tylko mediolańska Cinetecca Italiana troszczy się o to by ocalać od zagłady stare filmy. W samych Włoszech pomagają jej w pracy dwie inne filмотeki — rzymska Cinetecca Nazionale, związana blisko ze szkołą — Centro Sperimentale i turyńskie Museo del Cinema, na którego czele stoi wybitny historyk, autorka podstawowego dzieła z historii niemeego włoskiego filmu — Maria Adriana Prolo. We Francji, w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Danii, Szwecji, Czechosłowacji, Urugwaju, Iranie i Maroku — działają specjalne instytucje, muzea, archiwa i filмотeki, których zadaniem jest zbieranie, przechowywanie i opracowywanie starych filmów. Nie tylko zresztą starych, a po prostu wszystkich filmów, które przedstawiają wartość artystyczną, dokumentacyjną czy historyczną. Idea, o którą walczył stary aktor, zdobyła sobie prawo obywatelstwa niemal na całym świecie. Jednym z pierwszych, jeśli w ogóle nie pierwszym krajem, który zajął się utworzeniem archiwum filmowego był Związek Radziecki. 14 kwietnia 1922 roku Rada Naukowa Komisarjatu do spraw Oświaty uchwaliła jednogłośnie utworzenie muzeum filmowego, którego podstawową część stanowiła kolekcja starych filmów. Rokrocznie — powstają we wszystkich kontynentach archiwa i filмотeki. Nikt dziś już nie kwestionuje ani samej zasady, ani potrzeby zbiorów filmowych. „Film jest dziełem sztuki — głosi Stali Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych — i jako dobro kultury o znaczeniu narodowym i międzynarodowym musi być poddane takim samym przepisom o ochronie i swobodnej wymianie, jak inne dzieła twórczości artystycznej”.

Międzynarodowa Federacja Archiwów Filmowych, zwana F.I.A.F., powstała w październiku 1938 roku z inicjatywy czterech filмотek — paryskiej Cinémathèque Française, londyńskiej National Film Library (stanowiącej część Brytyjskiego Instytutu Filmowego), nowojorskiego Museum of Modern Art i berlińskiego Reichsfilmarchiv. Siedzibą Federacji został Paryż i do dziś dnia tam mieszczą się Sekretariat i międzynarodowa kolekcja filmów. Rozwój Federacji przypada na lata powojenne, począwszy od Kongresu Paryskiego z roku 1946, w którym brali udział przedstawiciele już kilkunastu filмотek. Dziś ilość członków rzeczywistych Federacji prze-

kracza cyfrę dwudziestu, nie licząc członków tymczasowych, członków-korespondentów i federacje stowarzyszone z Międzynarodową Federacją Klubów Filmowych na czele.

Podstawą działań Federacji jest walka o powszechne wprowadzenie i przestrzeganie trzech zasad, które są gwarancją zachowania i odpowiedniego wykorzystania światowego dorobku twórczości i kultury filmowej. Zasadą pierwszą i w pewnym sensie wyjściową jest uznanie zakazu niszczenia negatywów filmowych. Ilekć cenich negatywów powędrowało, jak to się popularnie w sferach filmowych mówi — „na grzebień”. Najwięcej grzechów i to największych mają tu na sumieniu amerykańscy producenci, którzy do dziś dnia nie uznają i nie rozumieją wagi archiwów filmowych. Ważny jest tylko doraźny zysk i jeśli przy nakreceniu nowej wersji jakiegoś starego filmu istnieje niebezpieczeństwo porównania z dawnym oryginałem, niszczą się wszelkie możliwości przeprowadzania groźnych zestawień. Dwa klasyczne wypadki niszczenia oryginalnych negatywów cytuję często prasa filmowa jako jaskrawy przykład lekomyślności i nieodpowiedzialnej zagłady dóbr kultury. Mowa tu o angielskim filmie reż. Thorolda Dickinsona „Gaslight” i francuskim filmie reż. Duwivier „Pépé le Moko”. W obu wypadkach amerykańscy producenci realizując w Hollywood nowe wersje postarali się o zniszczenie oryginalnych negatywów.

Druga zasada jest konsekwencją i uzupełnieniem pierwszej. Federacja domaga się by we wszystkich krajach produkujących filmy wprowadzono prawo obowiązkowego, tzw. legalnego depozytu filmów. Tak jak każdy egzemplarz książki nowo wydanej znaleźć się musi na półkach państwowej, urzędowej biblioteki, tak analogicznie — każdy wyprodukowany (choćby nie konieczne wyświetlany) film znaleźć się musi w specjalnie urządzonych bunkrach. Chodzi tu oczywiście o przechowywanie zarówno kopii pozytywowej jak i oryginalnego negatywu. W większości państw zasada depozytu filmów jest dziś uznana i obowiązująca. We Włoszech i w Anglii — miejscem depozytu filmów są filмотeki, rzymska i londyńska.

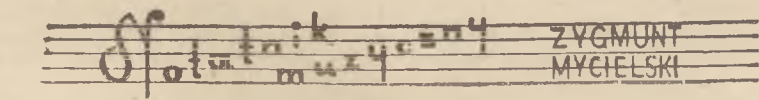
Wreszcie zasada trzecia — swobodnej wymiany filmów w obrocie międzynarodowym dla celów kulturalnych, naukowych i oświatowych. Filmy wymieniane przez członków Federacji zaopatrzone są w znak „F.I.A.F.” i automatycznie z tego tytułu zwolnione są z opłat celnych. Dzieje się tak we Francji, Anglii, Danii i w wielu innych krajach. Federacja dąży do tego by wszystkie państwa, w których działają filмотeki i archiwa filmowe, respektowały zasadę automatycznego zwalniania filmów archiwalnych od opłat celnych.

Z biegiem lat zakres działań Federacji i jej znaczenie w świecie filmowym ogromnie wzrosły. Cały ruch klubów filmowych, którego rola w budowaniu kultury filmowej jest i bezsporna i kluczowa, opiera się w istocie rzeczy na bazie materialowej Federacji. Ale to nie wszystko. Federacja staje się inspiratorem poważnych prac w dziedzinie historii filmu. Federacja po-

wołała do życia Międzynarodowe Biuro Studiów Historycznych w którym biorą udział m. in., tak wybitni historycy jak Georges Sadoul, Lotte Eisner czy Gavin Lambert. Udostępnienie archiwów filmowych badaczom historii filmu w sposób zorganizowany i w skali międzynarodowej oczyści najmłodszą dyscyplinę naukową w rodzinie historii sztuk z osadu publicystyki i felietonizmu. Nie ulega wątpliwości, że w przyszłości naukowa działalność Federacji wysunie się na czoło w jej roznorodnych pracach.

Kongres warszawski jest jedinstym kongresem Federacji. Działacz archiwów filmowych, historycy, dziennikarze i przedstawiciele stowarzyszonych międzynarodowych federacji, którzy w latach ubiegłych spotykali się w Paryżu, Nowym Yorku, Rzymie, Amsterdamie, Brukseli, Cambridge i Lozannie, w r. 1955 obradują w stolicy Polskiej Ludowej. Niestety nie możemy, naszym kolegom i gościom, którzy przyjechali do nas ze wszystkich stron świata, pokazać polskiej „Walizki snów”. Nasze archiwum filmowe, powołane do życia dopiero przez władzę ludową, powstało zbyt późno by ocalać dla dzisiejszego widza stare polskie filmy z Fertnerem, Polą Negri czy Węgrzynem. Dopiero teraz, dzięki pomocy Federacji — przychodzi do nas i przychodzić będą, przechowywane w archiwach filmowych Paryża, Pragi, Londynu czy Rzymu — jakże nieliczne zresztą polskie filmy. Za mało ich jednak na „Walizkę snów”.

Wbrew jednak wszelkim pozorom sprawa archiwów filmowych nie jest dla Polski nowa i obca. Wręcz przeciwnie — nie gdzieindziej, jak właśnie w Polsce, jak właśnie w Warszawie — szukać trzeba jej początków. Pierwszym na świecie człowiekiem, który rzucił myśl stworzenia archiwum filmowego był warszawski fotograf i jeden z pierwszych operatorów filmowych na kuli ziemskiej — Bolesław Matuzeuski. W broszurce Matuzeuskiego „Une nouvelle source de l'histoire” (Creation d'un depot de cinematographie historique) wydanej nakładem autora w Paryżu w r. 1898, wyłożony jest w sposób przekonujący program stworzenia filмотeki w której znalazłby się dokumenty filmowe — fotografie ruchome, które dadzą badaczom bezpośrednią, autentyczną wizję przeszłości. Matuzeuski w zakończeniu swej broszury wyrażał skromne życzenie by inni przejęli i uzupełnili jego pomysły. Marzenia polskiego pioniera kinematografii z końca XIX wieku stały się rzeczywistością. Warto o tym z okazji XI Kongresu Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych — przypomnieć. Z okazji warszawskiego Kongresu F.I.A.F.



Pianista i muzyk

Przyjemnie jest pisać, gdy jest o czym i o kim i gdy Koncert jest nie tylko udany, ale nasuwa mnóstwo spostrzeżeń i ogólniejszych myśli.

Znany już, choć bardzo jeszcze młody pianista, Andrzej Czajkowski dał w pięknej sali Towarzystwa im. Chopina, w „Pałacu Ostrogskich” recital, w którego programie znalazły się *Fantazja i fuga g-moll* Bacha w transkrypcji lisztowskiej, *Sonata E-dur op. 109* Beethovena, *Bollada f-moll* Chopina, 3 mazurki Szymanowskiego i *Gaspard de la nuit* Ravela — a ponadto wykonał na bis, wobec niezwykle gorącego przyjęcia przez publiczność, niemal że drugi program, z *Menuetem Rameau* — Godowskiego, *Sztucznymi ogniami* Debussy'ego, finałem z *VII Sonaty* Prokofiewa oraz *Polonezem-fantazją* i mazurkiem Chopina.

Czajkowski lubi grać i ma niezwykle rozległy program w pamięci i palcach. Gdy słyszałem rok temu Maski Szymanowskiego w jego wykonaniu w sali Konserwatorium, zrozumiałem od razu, że mamy przed sobą muzyka, który umie kreować najtrudniejsze pianistyczne dzieła.

Widoczna była ta pasja konstrukcyjna i twórcza, która wyszukuje zadania trudne i przekazuje je słuchaczom z wielką młodzieńczą siłą przekonującą.

Ostatni koncert umocnił to pierwsze moje wrażenie. Ravel, Debussy, Szymanowski i Prokofiew ucieszyli się, gdyby stłyszeli z jakim swobodnym temperamentem Czajkowski odycha ich rytmem, jak cieszy się ich muzycznym pulsem, który odczuwa jako coś najbliższego i najbardziej naturalnego. W tym sensie Czajkowski jest swego rodzaju wyjątkiem wśród naszych młodych, i nie tylko młodych pianistów. Odegrać powinien całkiem szczególną rolę w naszym życiu muzycznym, o ile tylko znajdzie odpowiedni klimat i troskę wśród jego organizatorów.

Teraz jest moment, gdy Czajkowski powinien wyjechać, by poznać się ze wszystkim co nowe i przywieźć nam te nowalce, podać nam wszystko, co wśród nich jest najlepsze i najciekawsze. A wybrać potrafi z pewnością. Nie zdziwiłbym się gdyby w przyszłości okazał się kompozytorem, kto wie, mo-

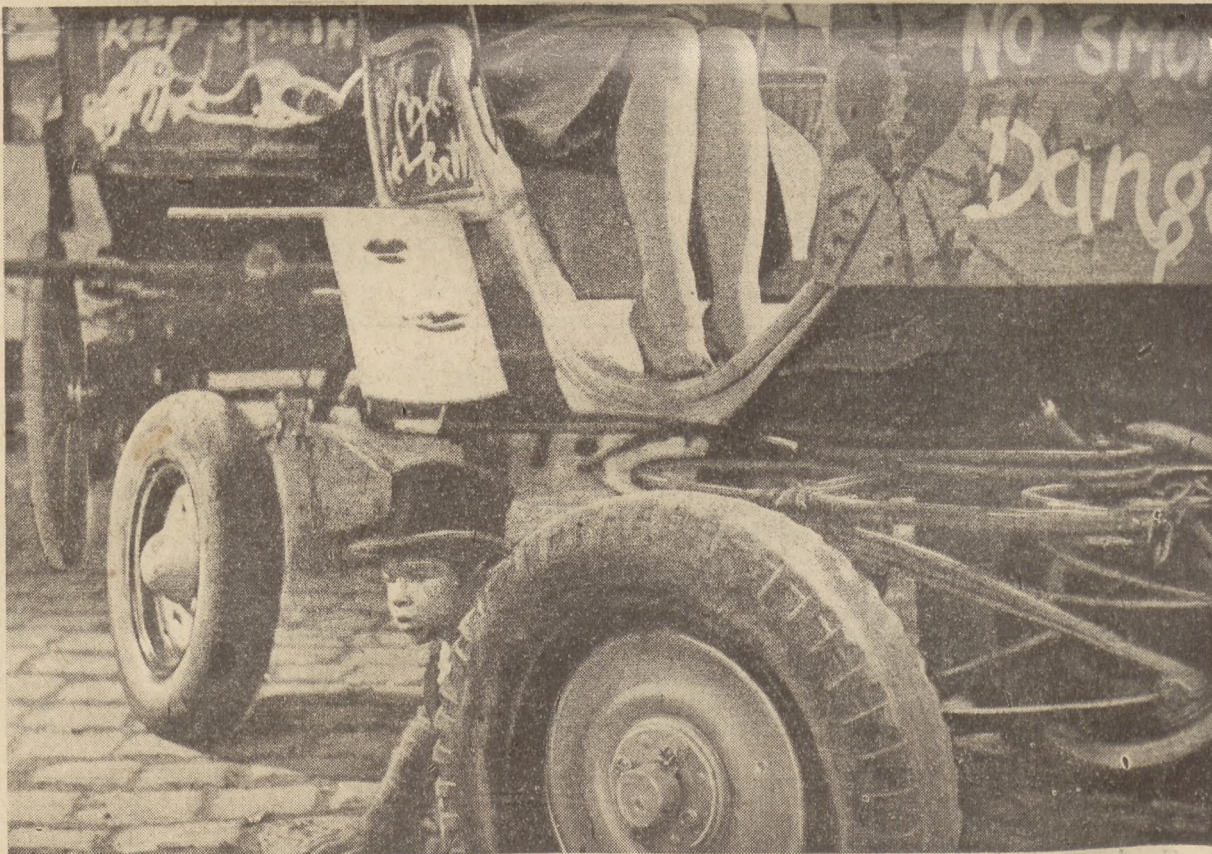
że i dyrygentem. koryfeuszem i obrońcą wszystkiego co nowe i wyprzedzające swój czas. Jest on bowiem nie tylko pianista, ale przede wszystkim muzykiem, i to w nim tak bardzo cenię. Posiada łatwość przyswajania sobie dzieł, które dla wielu innych są ciężkim do zgryzienia orzechem.

Jak dyspozycje takie działają na wykonanie klasycznego i romantycznego programu?

Gdy słyszymy wykonania największych artystów, uderza nas sposób, w jaki operują oni czasem muzycznym. Tym czasem który znajduje się pomiędzy nutami, przy każdym zakończeniu frazy lub jej odcinka. W połączeniu z wielkim bogactwem i różnorodnością tonu, uderzenia w klawisz czy pociągnięcia smyczkiem, słuchacz ma wrażenie wielkiego spokoju, który emanuje bez względu na to czy utwór jest szybkim presto czy medytacją adagio. Molto espresso pierwszej wariacji z *Sonaty E-dur* Beethovena może zagrzmie każdy, jednakże wrażenie wielkiej dojrzałości sprawi nam pianista, który wrażenie to rozciągnie na cały ten utwór, do następnego vivace po wielki tryl i figurację ostatniej, VI wariacji.

W muzyce od czasu Debussy'ego zaszły duże zmiany w układzie tej rytmicznej pulsacji, którą operowali muzycy dawniejszych czasów. Czajkowski, panujący świetnie nad polifonią, wyprowadza w przekonujący sposób każdy głos, daje przekonującą konstrukcję największych form cyklicznych, jednakże gra jego sprawia wrażenie, że swobodniej czuje się w utworach nowszych, które bardziej odpowiedzialną rolę w naszym życiu gustowym muzycznym. Ravel czy Prokofiew nie krępują jego „wewnętrzne metrum”. *Gaspard de la nuit* wykonuje w wielkiej dynamicznej skali. Utwór ten cieszy go i niczym nie krępuje, podczas gdy utwór romantyczny wymaga ciągłego „trzymańcia się na uwierzy” i pewnej uczuciowej spekulacji — aby wydobyc efekty wyrazowe, będące treścią ówczesnych kompozytorów. Tak to odczuwałem na ostatnim koncercie tego pianisty, o którym z pewnością często jeszcze słyszeć będziemy.

Inne to już pokolenie niż Raoul Koczalski.



Scena z filmu „Godziny Nadziei”

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKIEJ

ALEKSANDER JACKIEWICZ

Nasza młoda twórczość filmowa odradza dziś dwa dążenia: dążenie do stylizowanego obrazu oraz dążenie do epickiej dramaturgii.

Do stylizacji skłania się Andrzej Wajda w swoim pierwszym pełnometrażowym filmie i Jan Rybkowski w ostatnim z dotychczasowych. Krytyka już podkreślała, że „Pokolenie” Wajdy ma bardzo luźną dramaturgię. Powiem więcej — dramaturgia stała się tu głównym pretekstem do tworzenia stylizowanych obrazów.

Pamiętajmy, że Wajda nim został reżyserem był malarzem, pamiętajmy też, że pracuje wspólnie z Jerzym Lipmanem bardzo ambitnym operatorem, i wreszcie, że zespół aktorski, jaki sobie dobrali, składa się z najsilniejszych indywidualności naszego młodego aktorstwa filmowego. Zespołowi od początku pracy nad „Pokoleniem” brakowało dramaturga. Bohdan Czeszko, tegi prozaik, dramaturgiem nie jest.

Wajda i Lipman wyszli ze Szkoły Filmowej. Ich rocznik dojrzał w okresie, gdy filmy włoskie robiły tam wielką karierę. Zbyt późno otarli się o twórczość Forda, aby ta twórczość wywarła na nich silniejszy wpływ. Piszac „twórczość” mam na myśli metodę twórczą. Pociągnęła ich chyba tylko pasja stylizatorska nauczyciela. Trafiła na podatny grunt, przygotowany przez filmy włoskie.

Jeśli chodzi natomiast o „Godziny nadziei” Rybkowskiego — to ich dramaturgia budowana przez Jerzego Pomianowskiego, była przeciwieństwem dramaturgii „Pokolenia” — zwarta, konsekwentna jak rzadko w którym z naszych filmów. Lecz czas, miejsce i środowisko akcji stwarzały dla reżysera ogromną pokusę niecodziennego, dzi-

wnego rozpracowania obrazu. Gdzie szukać wzorów dla takiej stylizacji jak nie u Włochów? I oto film bardzo polski w głównym nurcie fabuły, w kręgu głównych postaci i konfliktów — stał się włoski w tle konfliktów, w drugim planie, który, przez swoją atrakcyjność obrazową, wysunął się prawie na pierwszy plan.

A zaczęło się wszystko od tendencji stylizatorskich Forda, bardzo właśnie w włoskich, polskich świadomie i uparcie, na tyle polskich, że szukających źródeł w folklorze i w malarstwie narodowym. Dlaczego jednak nowe poszukiwania odbiegły od niego tak daleko? Chyba dlatego, że Ford stworzył swój bardzo zindywidualizowany styl, wydaje się w nim hermetyczny, nie zamknięty i przez to niedostępny dla ewentualnych uczniów. Może rzeczywiście trudno go powtarzać, ale przecież powtarzać nie należy. Należy natomiast, i to jak najbardziej, wyciągnąć twórcze wnioski z Fordowskich poszukiwań narodowego stylu.

Jak z tym stylem u Wajdy? Akcja „Pokolenia” rozgrywa się w Warszawie. A oto jej filmowy obraz: małe domki przedmieścia z płaskimi dachami, piaseczyste ugory, ciemne sklepione tunele, kocioł z orszakiem słubnym i ulicznym fotografem, widuakt młodego Poniatowskiego widziany od dołu, wąskie surowe uliczki, bramy z renesansowymi lukami; południowa uroda matki Stacha, malowniczy strój starego Krone, olbrzymi grubaś w koszulce gimnazjalnej, jakiś lazik w meloniku, platynowa wienus z dzieckiem na reku, druga — w szlafroku, z umalowaną twarzączką na tle sklepiku, zegar z Murzynkiem. „Cud w Mediolanie”? Nie, w Warszawie.

U Rybkowskiego włoskość ma, mimo wszystko, większe usprawiedliwienie — na ekranie międzynarodowym tłum. Ekscentryczne stroje i fryzury, swobodny sposób bycia, samba i karawan. Karawan z Ziemi Odzyskanych.

Polskie są natomiast te warstwy filmów, które mówią o losach kraju i ludzi. Po warszawsku prezentują się Stach, Sekula, mniej Jasio Krone uwikłany w dziwności. Polscy są główni bohaterowie „Godzin nadziei”, zwłaszcza lekarz, nie tylko polski, lecz ze swoją spokojną mocą zrodzony przez tamten czas.

Podziwiam, bez ironii, zdolność z jaką nasi reżyserzy przyswoili sobie wzory Włochów. Te wzory mogą im ułatwić znalezienie własnego języka. Bo szkoła to przecież dobra. Niestety, nie nadaje się do dosłownego przeniesienia na nasz grunt. Nadaje się zaś, i to bardzo, do twórczego przetwarzania.

Kierunek dalszych poszukiwań dla naszego filmu wskazuje Ford nie Włosi. Polska jest wciąż krajem nieznanym.

II.

Teraz o drugiej tendencji. Tendencji chwytania naszego życia w formy epickie bez stylizacji i bez odrywania obrazu od dramatycznej kośca. Narodziła się ona wraz z „Ostatnim etapem”, szukała drogi w „Zołnierzu zwycięstwa”, a nawet w szeroko zakrojonym pomyśle „Opowieści atlantyckiej”. Filmom Jakubowskiej przysłyły w sukurs prace Jerzego Kawalerowicza, Lesiewicza i Munka. Twórczość Forda jest tu też nie bez udziału, chociaż pozornie wydaje się, że nasza młoda epika filmowa powstaje w drodze opozycji do Fordowskiej ścisłej dyscypliny intelektualnej, do jego liryzmu, do zdołnictwa obrazowego, metaforyki. Tak, w opozycji do tych elementów, lecz w jego dziele jest też potężny oddech, ogarniający wielkie przestrzenie historyczne, jest dążenie do oddania atmosfery czasu i miejsca z całym ich autentyzmem.

Obraz Szczęsnego — Kawalerowicza — ma wewnętrzną wspólność nie tylko z radziecką epiką filmową lat trzydziestych, nie tylko z koncepcją biograficzną „Zołnierza zwycięstwa”, lecz także z metodą

budowania bohatera w wyraźniejszej niż gdzie indziej równoległości do wypadków historycznych, spraw obyczajowych i społecznych, jaką zastosował Ford w „Młodości Chopina”.

Ale, podczas gdy Ford o życiu opowiada, Kawalerowicz to życie ukazuje. Tak, w dużym skrócie, określonym różnicą dzielącą obu twórców. Ford zdaje się przywoływać na ekran to, co dla jego myśli, myśli bardzo określonej, jest niezbędne. Ford konstruuje, wpisując w swoją, jakby z góry gotową, koncepcję jej odpowiedniki obrazowe. Tę praktykę stosuje nawet do lirycznych sekwencji. Obrazy występują jako świadkowie jego myśli, świadkowie zresztą często dosyć kpiący. Stąd montaż, środek najbardziej bezpośredni narracji filmowej, gra rolę pierwszorzędną, niezamaskowaną, jakby umyślnie jawną. Narrator prowadzi nas, narrator jest organizatorem i, chciałoby się powiedzieć — pierwszą osobą opowieści.

Autor „Celulozy” i „Pod gwiazdą frygijską” natomiast oddaje głos temu, co się przed jego obiektywem dzieje. Ma się często takie wrażenie, że działanie się rozgrywa niezależnie od niego, a on je obserwuje, wychwytuje z niego sprawy i obrazy najciekawsze, daje się im prowadzić. Stąd przewaga ruchów kamery nad montażem. I tak w sposób pozornie przypadkowy, po-

czynając od budowania poszczególnych ujęć, buduje się cała opowieść. Szczęsny dojrzała niepostrzeżenie, jak w realnym życiu dojrzejawą bliscy nam ludzie. Zmienia się jego wygląd, sposób bycia, wszystko. W ten sposób też rosną lub maleją inni bohaterowie filmów Kawalerowicza.

Dając do najbardziej bezpośredniego uchwycenia życiowej prawdy, Kawalerowicz rzadko tworzy Fordowskie zamknięte obrazy czy sceny. I płynność jego dzieł jest inna niż u Forda. Jego kamera chętnie opuszcza bohaterów i niespodziewanie do nich wraca, jak ludzki wzrok. Dokoła kręca się przypadkowi ludzie, widać przypadkowe przedmioty. Księża, oficerowie, robotnicy, widać szлды, domy, okna. Wcześniej jednak lub później do akcji wejście książd Wojda, wejda oficerowie w sekwencji wojskowej, sylwetki spotkanych przed tym robotników wyrosną na obrońców barykad; z okna rozlegnie się historyczny krzyk dewotki-nietopczarza, w domach pomieszczają się Czerwiniackowie z wyszywanymi poduszkami lub aferyzcy. Dzieje się to tak samo jak wzrost Szczęsnego. Korbał, udając się w załoty, wepchnie się w sztywny, źle uszyty garnitur, jaki później zobaczymy na warszawskim szyldzie.

Inną niż Ford metodą dochodzi Kawalerowicz do oddania atmosfery przedstawianego czasu i przed-

stawionych miejsc, mniej w streszczeniu, więcej w ukazaniu. Ale widza Polski przedwzrzesniowej u Kawalerowicza stwarza równoważnik do Fordowskiej wizji przedwzrzesniowej Warszawy. Zarzys miasta z „Celulozy” odnajdziemy w ruinach „Piłki z ulicy Barskiej”, a w nich tych samych Czerwiniacków, a na Trasie tych samych Szczęsnych.

Daleki jestem od przeprowadzania daleko idących porównań. O co innego mi chodzi. Widzę zarówno u Forda jak u Kawalerowicza dążenie do wypracowania własnych form dla oddania wspólnego życia, minionego i współczesnego, bez uciekania się do obcych konwencji.

Dążenie to jeszcze silniej zaznacza się w filmach Andrzeja Munka — „Kolejarskie słowa”, „Niedzielny poranek” czy w jego i Lesiewicza filmie „Gwiazdy muszą płonąć”.

Ford, przy całym swoim dążeniu, aby dać własną przede wszystkim własną wizję, wiele uwagi poświęca faktom autentycznym, miejscom i przedmiotom. Dba o autentyzm getta warszawskiego i jego historii, o autentyzm Warszawy pierwszych lat po wojnie. W „Piłce z ulicy Barskiej” poznajemy dzieje nie tylko chłopców, lecz także budowy Trasy z jej trójkami murarskimi, z mechanizacją robót, z ratowaniem zagrożonego kościoła.

Ten autentyzm staje się moty-

NAGRODA BEZ PRECEDENSU — Z RUBYRIKI SCANDALIOSA — O CZYM NIE PISZE PRASA — REJESTR Z WNIOSEM PRAKTYCZNYM.

Jedną z tegorocznych nagród państwowych w dziedzinie nauki nie ma precedensu w naszej przeszłości: nagroda II stopnia przyznana prof. Stefanowi Kleniewiczowi za działalność badawczą i pisarską ze szczególnym uwzględnieniem książki popularno-naukowej pt. „Warszawa w powstaniu styczniowym”. Ten dowód znaczenia, jakie przywiązujemy do umiejętnej popularyzacji osiągnięć nauki, jest oczywiście sukcesem osobistym Autora, ale do swych kronik chwałki wpisze go i Wydawnictwo, które tę książkę zamówiło, „donosiło” i wydało na świat: Wiedza Powszechna. Oby fakt nagrody — a więc oficjalnego uznania państwa i partii — dotarł do świadomości naszych redaktorów i publicystów, którzy wysiłków WP nie darzą, jak dotąd, szczególnym zainteresowaniem!

Calkowicie niemal pomijanie milczeniem publikacji Wiedzy Powszechnej należy do poważnych skandali naszego życia umysłowego — i to wówczas, kiedy u c z y s i ę niemal cały kraj, i my z nim razem, kiedy dokonujemy zasadniczych rewizji naukowego dorobku przeszłości, kiedy nowe odkrycia przewracają do góry nogami dotychczasowe pojęcia w wielu dziedzinach, kiedy... Ale co tu wiele mówić, skoro wszyscy wiemy, gdzie i kiedy żyjemy, jak dalece opieramy swe nadzieje i plany na rozwoju nauki, wiedzy, myśli, na powszechnej oświeceniu i powszechnej znajomości praw rządzących przyrodą i społeczeństwem!

Zdawałoby się, że w tej sytuacji każda nowa książka opatrzona znacznikiem „WP” stanie się przedmiotem szczególnie czujnej uwagi i opieki naszych dzienników i czasopism, że będzie odnotowana, omówiona, że w prasie masowej ukaza się artykuły wykorzystujące to wszystko, co nowego dziełko to wniosło do naszej wiedzy o świecie... Ale gdzie tam! Nie ma omówień, nie ma bez mała nawet natek o nowościach księgarskich WP, nie ma znajomości podstawowych problemów z zakresu upowszechnienia wiedzy. Pojedyncze (rzadkie i ogólnikowe) recenzje, jedna dawno zorganizowana przez samo Wydawnictwo dyskusja-konkurs w „Życiu Warszawskim”, jeden czy dwa artykuły problemowo-dyskusyjne w „Nowych Drogach” (nr 655) i „Trybunie Ludu” — to przystawione rybki na bezybiu zainteresowania prasy Wiedzą Powszechną. Nazbyt wielu jeszcze redaktorów rozumie swą pracę polityczną przede wszystkim (tylko?) jako dorywcze popychanie aktualnych „akcji” i nie wie czy nie pamiętać, że prawdziwie i najbardziej polityczne jest umiejętne kształtowanie przekonań, szerzenie nowoczesnego naukowego poglądu na świat — a w tej głęboko sięgającej i stałej „akcji” popularyzacja wydawnictw WP winna zajmować poważne miejsce. Jako że nauka to fakty i interpretacje — a fakty to najlepszy nauczyciel i wychowawca.

Na szczęście rezultatem „aktywności”, bezroski, nieudolności czy lenistwa dziennikarzy i redakcji w znacznej mierze zapobiegają: czytelnicy, którzy należycie ocenili wartość książek WP, rozkupią je w księgarniach i pożyczają w bibliotekach — oraz samo Wydawnictwo, które urządza dyskusje nad swymi książkami i dociera z nimi do myślących czytelników-korespondentów w miastach i na wsi.

Są to jednak półśrodki, metody pożyteczne, ale poniekąd partyzanckie. Mogą one dać Wydawnictwu interesujący materiał do rozmyślań nad ulepszeniem jego pracy, ale nie zastąpią prasy wszystkich stopni, które winna i musi spełniać złożone funkcje informacji, popularyzacji i oceny. Do tego jest bowiem powołana i to należy do jej zadań, dotychczas rzucając zaniedbanych.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Podobnie zachowują się i problemy pisarskie, naukowe, redakcyjne, wychowawcze i polityczne, które ujawniają się dopiero w bliskim kontakcie z książką, podczas dokładniejszego zapoznawania się z jej funkcjonowaniem w społeczeństwie. Redaktor, który ocenia publikacje

wem przewodnim twórczości Munka i Lesiewicza. Ich „Gwiazdy” znalazły się na przeciwnym biegunie w stosunku do zabiegów Wajdy i Rybkowskiego, a tym bardziej w stosunku do świadomych fikcji poetyckich i obrazowych Forda z warstw stylizatorskich jego dzieła.

Maski sylwestrowe z pierwszych kadrow nie mają dalszych odpowiedników w „Gwiazdach”. Na ekran wchodzi szorstka, rzeczuwo potaktowana romantyka trudu górnika ostatnich lat. Autentyczne kopalnie, autentycznie przeważnie bohaterowie filmu. To od razu nadaje obrazowi specjalny charakter. Nie uciekając się w zasadzie do wymysłu — realizatorzy „Gwiazd” opowiadają dwie prościutkie historie: w jednej o starym górniku, który, opuściwszy kopalnię wraz ze swoimi anachronicznymi kołami, na wezwanie Partii powraca do pracy i do nowych jej form; w drugiej o zdobywaniu nowych pokładów węgla dla kopalni.

Ile ciepła, właśnie autentycznego, przynosiła te dwie autentyczne powiastki. Ludzki wysiłek i przywiązanie do miejsca pracy, kult górniczej tradycji polskiej i dążenie do tego, aby, nie uroniwszy nic z niej co cenne, pracować inaczej, lepiej i bardziej świadomie. Także tam są treści, tak je przyjmujemy słuchając komentarza i oglądając obrazy. Ale terminologia publicystyczna,

WP z punktu widzenia ich przydatności dla siebie samego i dla swego towarzysza z kawiarni czy klubu — nie zaś w zależności od tego, jak ich treść dociera do adresatów, o ile pobudza i rewolucjonizuje ich myślenie, jak dalece przewraca i na nowo ustawia ich pojęcia — taki redaktor, choćby najgorliwiej deklarował hasła polityczne, w ogóle nie potrafi dostrzec, ba, nawet nie domyślił się istnienia istotnej problematyki oświatowej i społeczno-politycznej związanej z upowszechnianiem wiedzy. A zatem — źle wykonuje swe obowiązki.

Dziennikarze mają na swe usprawiedliwienie tylko jeden argument: brak tradycji i wzorów. Ze niby skoro nasze wydawnictwo popularno-naukowe stawia dopiero pierwsze kroki i dopiero się uczy, jak łatwo przygotować trudne tematy, to i prasa musi się dopiero nauczyć popularyzacji efektów tych starań... Ba, pięknie, ale niechby chociaż próbował! Niechby bładził — i to świadczącoby, że chce się nauczyć — ale nie bładzi i nie uczy się. Nie robi nic. A tu zagadnień kupa i aż się proszą, by je wziąć na warsztat publicysty-recenzenta i reportera:

Formy popularyzacji; znaczenie szaty zewnętrznej, druku, komentarza ilustracji; popularno-naukowe książki rysunkowe. Ujęcie tematu: gawęda, beletryzacja, operowanie fikcją literacką, dowcipem, walka z szablonem „wykładu” i „referatu”, ilustrowanie tekstem literackim, system pytań i odpowiedzi. Metoda „ataku” na temat: powolne wciąganie czytelnika w nurt rozważań czy stawianie tez z późniejszą dokumentacją? Indukcja czy dedukcja? Epitologia czy pogładowość? Sposoby polemiki z dotychczasowymi pojęciami czytelnika — nie zaskakiwać „obrazoburczym” wnioskiem! Walka z monotonią i brutalnością metod i „chwytów”. Przeciwno nudzie. Nie ma nudnych tematów, są tylko nudni autorzy. Zakres tematyczny i dozwolone stopnie trudności. Uwaga na odbiorcę! Akcent: książki najłatwiejsze, „pierwszy stopień”. Jak to robić? Warsztat pisarza-naukowca-popularyzatora. Jak łączyć wiedzę naukową z przystępnością wykładu (narracji)? Kłopoty autorskie, czyli jak zdobyć (wychować) nowych Kleniewiczów: badaczy i popularyzatorów? Stawka na nowe plenery. „Wiedza Powszechna” — wydawnictwo debiutów. Specjalizacja popularyzatorska: przykład Zabińskiego. Prace oryginalne a tłumaczenia. Wzory i naśladowictwo. Co i jak przekładać? Kogo i jak naśladować? Reportaż i pamiętnik, czyli Bidwell. Zaniedbanie dorobku popularyzatorskiego postępowej nauki zachodu. Zakres ingerencji redakcyjnej; jak budować warsztat wydawniczy? Jak sięgać po czytelników? Kolportaż. Badanie „odbioru” i rezonansu społecznego; praktyczne działania książki. Recenzenci społeczni. Pomoc fachowa, organizacja samouctwa, poradniki i poradniki. „Przewodnik samokształcenia”, czyli jak długo jeszcze? Dyskusje, ich wpływ na nowe książki i nowe wydania starych książek. Ankiety. Działanie przez biblioteki...

I tak dalej, i tak dalej. To tylko chaotyczny i niepełny rejestr problemów, możliwości, kierunków krytyki. Wiem, sprawdziłem, że młode Wydawnictwo zdaje sobie sprawę ze wszystkich tych kwestii, choć nie wszystkie jeszcze potrafi bezbłędnie zastosować lub rozstrzygnąć. Ale szuka, stara się, uczy, walczy, wie, że jego zadaniem jest uźbroić przekonanych w oręż faktów i dowodów — a przyciągać nieprzekonanych i opornych (nie razić nie odpychać!). Nie agitować i nie „pouczać” — lecz przekonywać, dopuszczać do rozmowy, rozstrząsać uprzedzenia, budzić ciekawość i głód wiedzy, wskazywać dalsze drogi jego zapożyczenia. — „Wiedza Powszechna” o tym wie i to budzi optymizm, kaže dobrze patrzeć w jej przyszłość.

Ala prasa musi jej pomóc. Ten przegląd jest przeglądem tylko z tytułu: nie mówi o nowych książkach, mówi o nowym (dla wielu czytelników i dla naszej prasy) Wydawnictwie. Adresowany jest do redaktorów, publicystów i recenzentów.

Czy odniesie skutek??

*

A o książkach WP pomówimy osobno.

Zb. W.

Z „Liryków gniwnych”

STANISŁAW JERZY LEC

DO POETÓW SATYRY

Cóż wściekłość, panie bracie —
diabelnie trudna sprawa!

Nie można wypieścić jej w sobie
jak uwielbienie sonetu.

To z własną krwią zabawa.

Nie można powiedzieć życiu:

Idź się wściekłości napić

do serca jak do bufetu.

Mnie chwalic Opatrzność

jej nigdy nie poskąpiono.

Niech tylko zobaczę, usłyszę,

wymacam, poczuje — czy ileż tam jeszcze

tych zmysłów —

niektóre antropoidy,

a już we mnie kipi

od wszystkich soczystych cytów

z Wielkiej Literatury,

z barwnych bukietów folkloru,

z języków umarłych,

czy z gwary żywej jak ulice miasta.

Hej tam, do wszystkich mamus

które się zapomniały!

O wściekłości iskro bogów!

Rodzicielko płodna

rentgenookiej poezji!

Tys jednym z Niepodległych

Stanów Człowieka

w którym zamieszkać powinni

poeci satyrycy.

KAMELEONOM

Jak dwie pastylki trucizny

oczy ich dla mnie,

patrz — nie patrz.

Sfałszowali metryki swoje

prosto od Marksa-Engelsa

a w moich oczach film się odwija

ich życia. Psiakrew!

Patrz — nie patrz

a widzą ten film swego życia.

Świeci w moim sercu.

Ich nienawiść nie zdradzi się jak błysk

z przewodów wysokiego napięcia.

Jest zgrzytem noża

ostrzonego cierpliwie na oselce.

Tędy — tamtędy.

Chcą podpisu mej pieśni

na swych fałszywych papierach.

Nawet de mortuis należy

mówić prawdę. Która nie umiera.

ZESZYTY TEORETYCZNO-POLITYCZNE NR 9 (16) WRZESIEŃ

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się nowy numer Zeszytów Teoretyczno-Politycznych 9 (16) wrzesień 1955 r. z przekładami najnowszych artykułów z dziedziny filozofii, ekonomii, historii, budownictwa partyjnego, zagadnień międzyrodzinych, opublikowanych w teoretycznych czasopiśmie ZSRR, krajów demokracji ludowej oraz w postępowych czasopiśmie krajów kapitalistycznych.

W numerze tym znajdują się następujące artykuły: S. Titarow — Internacjonalizm socjalistyczny — ideologia przyjaźni między narodami. S. Nowosiłow — Rola postępu technicznego w ustroju socjalistycznym. A. Tryfonow — Największy na świecie synchrocyklotron. I. Libermann — Rozrachunek gospodarczy a zainteresowanie materialne robotników przemysłowych. Jarosław Kłofac — O niektórych najbardziej rozpowszechnionych odchyleniach socjałdemokratycznych. Z. Kłusakov-Svobodowa — Przyczyny dysproporcji w rozwoju produkcji rolniczej i przemysłowej. Czen Ifan — Od grup pomocy wzajemnej do spółdzielczości produkcyjnej. L. Jerman — Walka bolszewików o zdobycie demokratycznej inteligencji w 1905 roku. C. Stiepanian — Sprzeczność w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego i drogi ich przezwyciężenia (Artykuł dyskusyjny). Klara Zetkin — Rozmowy z Leninem o etyce osobistej. Lubow Kabo — Na tematy wychowawcze. Dolores Ibaruri — Zbliżenia. Victor

Leduc — Co oznacza „nowa lewica”. All Yata — W sprawie Maroka. C. Boubali — O sytuacji w Algierze. Mary Norris — Charakter „poprawy” obecnej koniunktury gospodarczej w Stanach Zjednoczonych. Automatyzacja — amerykański dyalemat. B. Jonas — Prefabrykaty żelbetowe. Spojrzenie w przyszłość. J. Zdanow — Na czym polega ateistyczne znaczenie nauki Pawłowa.

RECENZJE

M. Moszczeński — Praca i kapitał w USA (Labour Fact Book 12). F. Marek — W kwestii narodowej. W. Holtscher — Fizyk Bernal i embriolog Needham o nauce na Zachodzie i na Wschodzie. I. D. Bernal, „Nauka w dziejach” („Science in History”). W. Holtscher — I. Needham, „Nauka i cywilizacja w Chinach” („Science and civilisation in China”). F. Chatelet — Pan Merleau-Ponty i ostatnia moda antykomunizmu. „Przygotowanie dialektyki” („Les Aventures de la Dialectique”). Na łamach czasopisma „Partijnaja Zizn”

O prawach i obowiązkach członka komitetu partyjnego.

LICZBY I FAKTY

Przemysł ciężki — źródło potęg i bogactwa Związku Radzieckiego. Wang Kuan-wel — Wielki plan. Decyduje tempo. G. Helling — Fotosynteza i wyżywienie. Dobra rada („Fanfan-Tulipan”, „L’Humanité-Dimanche”).

BIBLIOGRAFIA

KSIAZKA I WIEDZA

PRZEGLĄD KULTURALNY. Tygodnik Kulturalno-Społeczny

Organ Rady Kultury i Sztuki

Redaguje Zespół. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 21 póg Trebaczki. Redaktor naczelny tel. 6-91-26 Zastępca naczelnego redaktora 6-05-68. Sekretarz Redakcji 6-91-23, sekretariat 6-62-51 wewnętrzny 231. działy: tel. 6-72-51, 6-62-51. Adres administracji: ul. Wiejska 12, tel. 8-24-11. Wydaje Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”. Kolportaż PUPiK „Ruch”. Oddział w Warszawie, ul. Siebna 12, telefon 8-64-01. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,60, kwartalnie zł 13,80, półrocznie zł 27,60, rocznie zł 55,20. Rękopisów nie, zamawianych Redakcja nie zwraca. Zakłady Druk. i Wkięsiodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 35.

Informacji w sprawie prenumeraty wpłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

• Nr zam. 2035 B-6-12261

100 WIERSZY Z ZAGRANICĄ



□ Moskiewski „Mały” teatr wystawił sztukę wyolnego pisarza islandzkiego Haldora Laxnessa „Sprzedana Kotysunka”. Dramat Laxnessa, będący jego debiutem teatralnym, jest skierowany swym ostrzem przeciwko oślawieniu amerykańskiemu stylowi życia, który przenoszą do Islandii stacjonowane w tym kraju oddziały wojsk amerykańskich; koncepcja artystyczna spektaklu wywołała ożywioną dyskusję w moskiewskich sferach teatralnych.

■ W Kijowie otwarta została wystawa prac współczesnych ukraińskich malarzy-magynistów, na której zgromadzono ok. 250 różnorodnych obrazów, rysunków, szkiców i rysunków o tematyce morskiej (pejzaże, sceny życia rybaków itp.).

■ Znana monachijska orkiestra kamerna prof. Wilhelma Strossa która w kwietniu br. gościła w Polsce, udaje się do ZSRR, gdzie da 12 koncertów w Moskwie, Leningradzie, Tbilisi i Erywaniu.

■ Gérard Philippe po pobycie w Moskwie w okresie tygodnia filmu francuskiego, udaje się do Chin i do Japonii; w Japonii weźmie udział w nakręcaniu pierwszego filmu japońsko-francuskiego w reżyserii Yves Ciampi.

■ Młody bułgarski dramaturg Todor Genev napisał ciekawą sztukę pt. „Wiara”, wystawioną przez Teatr Narodowy w Sofii. Treścią sztuki jest sprawa rehabilitacji wybitnego działacza politycznego — starego komunisty, który w okresie przed wyzwoleniem Bułgarii został oczerniony w prowokacyjnych celach przez agentów faszystowskiej policji bułgarskiej.

■ Wkrótce zakończona zostanie produkcja pierwszego filmu wspólnie nakręconego przez kinematografię CSR i N&D pt. „Gory i morza”; drugi film wspólnej produkcji będzie poświęcony życiu kompozytora Webera.

■ Znany zespół taneczny Moisiejewu udaje się jesienią br. do Londynu i Paryża na tournée artystyczne.

■ W Paryżu ukazała się książka znanego polityka — gaulisty — zrazem i etnografa francuskiego Jacques Soustelle’a pt. „Życie codzienne Azteków”.

■ Ciekawy film oparty na powieści Haldora Laxnessa pt. „Salka Valka” nakręciła kinematografia szwedzka; film opowiada o życiu kobiety-rybaczek od dzieciństwa do wieku dojrzałego w surowych warunkach rybackiej wioski islandzkiej;

■ interesujący film dokumentalny o podróży po pld. amerykańskiej dzungli pt. „Anakonda” nakręcił szwedzki podróżnik i badacz Roif Blomberg.

■ Biblioteka historyczna Paryża nabyła od wnuczki Georges Sand manuskrypty dzieł oraz korespondencję jej sławnej babki.

■ W British Museum odkryty został manuskrypt nieznanego dotąd kameralnego utworu Beethovena, pochodzącego z wczesnej młodości kompozytora; utwor zostanie po raz pierwszy wykonany w radio londyńskim w listopadzie br.

■ Teatry londyńskie w letnim sezonie teatralnym szeroko włączyły do swego repertuaru sztuki współczesnych autorów francuskich i amerykańskich jak Anouilh, Roussin, Husson, Giraudoux, O'Neill; szczególnym zainteresowaniem cieszą się sztuka Anouilha „Skourunek” oraz „Nina” Hussona.

■ W nowym sezonie teatralnym miejski teatr w Zurichu — jeden z najpoważniejszych teatrów Szwajcarii — wystąpi z bogatym i różnorodnym repertuarem; klasykę reprezentują takie sztuki jak: „Henryk V” Szekspira, „Antygona” Sofoklesa, „Rozbity dzban” Kleista, rzadko grywane „Stella” Goethego i „Karol XII” Strindberga; wystawione będą także sztuki Shawa, Tennessee, Williamsa, Faulknera oraz współczesnych dramaturgów szwajcarskich.

■ Film Chaplina „Dyktator” cieszy się wielkim powodzeniem w Niem. Republice Demokratycznej; wyświetlanie tego filmu jest nadal zakazane w NRF.

■ Po 16-letniej przerwie otwarte zostało ostatnio we Frankfurcie n/Menem sławne muzeum rzeźby, zawierające jedną z najpoważniejszych w Niemczech kolekcji rzeźb z różnych epok — dzieła twórców wielu krajów; obecna ekspozycja składa się ze 188 prac.

■ Wystawa sztuki etruskiej, o której przygotowaniu we Włoszech sygnalizowaliśmy w tej rubryce, została otwarta po raz pierwszy w Hadze wywołując olbrzymie zainteresowanie szerokiej publiczności oraz historyków i krytyków sztuki.

ki; wystawę przygotował międzynarodowy zespół specjalistów pod kierunkiem wybitnego etruskologa włoskiego prof. Massimo Pallotino; następna ekspozycja wystawy przewidywana jest w Paryżu.

■ Festiwal filmowy w Puente del Este (Argentyna), doroczna poważna konfrontacja artystyczna, został oawoany w związku z aktualną sytuacją polityczną w Argentynie.

■ Badacz i podróżnik norweski prof. Thor Heyerdal, sławny ze swej podróży poprzez Pacyfik na statku-trawie „Kon Tiki”, ogłosił że uduje się na zodiacie małego znanego wysepek Pacyfiku jak wyspa Wielkanocna, Kilduin i Mangarewa.

■ W związku ze 175-leciem urodzin wybitnego poety francuskiego Pierre Jean Berangera otwarta została w Moskwie wystawa dzieł poety tłumaczonych na rosyjski; ogólny nakład dzieł Berangera wydanych drukiem w ZSRR przekroczył pół miliona egzemplarzy.

■ Nowe dzieło Arama Chaczaturiana — muzyka do baletu „Spartakus” — zostało wysoko ocenione przez D. Szostakowicza na łamach radzieckiej prasy.

■ Fantastyczna powieść Aleksieja Tolstoj’a o podróży na Marsa pt. „Aolita” została wznowiona po wieloletniej przerwie w masowym nakładzie przez wydawnictwa radzieckiej literatury młodzieżowej.

■ „Mieszczanin szlachcicem”, „Świętoszek” oraz szereg innych sztuk Moliera jest obecnie tłumaczony w Pekinie na język chiński i ukazuje się ukrocie na rynku księgarskim; publikacja dzieł Moliera jest częścią składową planu przekładu na chiński dzieł największych klasyków literatury świata.

■ W letniej rezydencji Dalajamy rozpoczęła się tradycyjny przegląd oper tybetańskich przy udziale 12 najlepszych kolekcjiwów operowych Tybetu.

■ Pod auspicjami rządu greckiego odbył się w Atenach po raz pierwszy w Grecji międzynarodowy festiwal muzyczny i teatralny; festiwal był poważną manifestacją kulturalną, podczas której zostały wykonane m. in. „Idomena” Mozarta, „Orfeusz” Glucka oraz niektóre tragedie Sofoklesa i Eurypidesa.

■ Doroczny festiwal muzyki, teatru i filmu w Edynburgu został zainaugurowany występem orkiestry berlińskiej filharmonii pod batutą Eug. Ormandy’ego; podczas festiwalu wystąpi m. in. walijska młodzieżowa orkiestra symfoniczna; w festiwalu kinowym bierze udział 38 krajów m. in. ZSRR, CSR i NRD.

■ Tegoroczny festiwal wagnerowski w Bayreuth zakończył się wystawieniem „Tannhäusera”. 25 przedstawień operowych oglądało ok. 50 tys. widzów, w tym prawie połowa składała się z zagranicznych turystów.

■ Na dorocznym festiwalu w Salzburgu odbyła się premiera nowej opery Waltera Egka pn. „Irlandzka legenda”; ostatnie dzieło znanego współczesnego kompozytora niemieckiego szczególnie dobrze charakteryzuje kierunek współczesnej kompozycji operowej na Zachodzie.

■ Tegoroczną główną nagrodą „Viareggio” w dziedzinie literatury jury przyznało Vasco Pratoliniemu za powieść „Aletello”.

■ Po raz pierwszy w Szwajcarii teatr miejski w Lucernie wystawił sztukę Garcia Lorca pt. „Mariana Pineda”; premiera sztuki odniosła wielki sukces.

■ „Renesans to dekadencja” miał oświadczyć Henri Matisse francuskiej historyce sztuki Réginie Pernoud; w swoim 345 stronicowym dziele o historii wielkich epok sztuki na zachodzie poświęcił ona renesansowi i sztuce klasycznej... 21 stronic. Stanowisko nie porzawione przynajmniej oryginalności.

■ Przy odnawianiu kościoła św. Augustyna w Arezzo został odkryty znajdujący się w doskonałym stanie niezmany fresk pedza Spinello Aretino — florentyńskiego malarza XIV w. — ucznia Giotto.

■ Na 30 międzynarodowym konkursie chórów w Arezzo, w którym brało udział ponad 20 zespołów chórów z 8 krajów; pierwszą nagrodę zdobył chór z Belgradu.



Bulwar Stalingradzki w Tulonie — nowe budownictwo



Osiedle mieszkaniowe na Mokotowie w Warszawie

Przy porządkowaniu po przyjeździe z letniego wypoczynku starych papierów i notatek wpadła mi w ręce odbita na gestetnierz marszruta odbytej w zeszłym roku wycieczki po placach budowy południowej Francji. Organizatorzy wycieczki pokazali wielojęzycznej grupie ekspertów biorących udział w pracach jednego z Komitetów Europejskiej Komisji Gospodarczej największe i najnowocześniejsze zespoły mieszkaniowe, łudowane w tej pięknej części Francji. Droga prowadziła poprzez dolinę Rodanu do Lyonu, w Lyonie: Bron-Parilly, avenue Mermoz i rue Laennec. Potem St. Etienne: Valbenoite i Bonassieux, Beaulieu - Le Rond - Point, wreszcie Chambéry i znowu Alpy. Na kartce, przy każdej nazwie kilka szczegółów technicznych i liczby charakteryzujące wielkość poszczególnych budów. Liczby niewielkie, w jednym punkcie przewiduje się w przyszłości 480 lokali mieszkalnych, z czego znajduje się w realizacji 217 mieszkań, w następnych 378, 160, 100 mieszkań, gdzie indziej 900 i znow 160 mieszkań. W jednym tylko miejscu, na peryferiach liczącego 800 tysięcy mieszkańców Lyonu duża budowa zakrojona w przyszłości na 2600 mieszkań, z czego rozpoczęto pierwszy etap — kilka budynków liczących 600 lokali.

W niespełna rok później pokazywałem tym samym delegatom niektóre nasze polskie osiedla znajdujące się w budowie. Warszawski Muranów, na którym w przyszłości zamieszka ok. 70 tys. ludności, a w którym oddano do użytku już przeszło 6 tys. mieszkań, kilkunastotysięczny Mokotów z wybudowanymi 3 tys. mieszkań, projektowaną na 30 tys. ludności Pragę II (2 tys. mieszkań oddanych do użytkowania), Stare i Nowe Miasto, Koło, Żoliborz. A poza Warszawą krakowskie Grzegózki, stalinogrodzkie osiedle Marchlewskiego, gdyńskie Wzgórze Nowotki, wreszcie budowy gdańskie ze Starym Miastem na czele i szereg innych dużych osiedli, szybko pozostających poza oknami autokarów. Buduje się na nich nie setki, jak we Francji, a tysiące mieszkań, nie licząc budynków i lokali usługowych. Nie wymieniałem dotychczas Nowej Huty i Nowych Tych...

Nie zdziwiłem się — nie było to pierwszy raz — gdy w czasie rozmów z pochodzącymi z zachodniej Europy uczestnikami tej wycieczki, poważnymi specjalistami w zakresie zagadnień mieszkaniowych, i konfrontacji ich optycznych wrażeń z przedstawianymi przez nas liczbami obrazującymi rozmiary naszego budownictwa, występowało wręcz zaskoczenie i zdziwienie. — Budujecie rocznie w waszych miastach i osiedlach robotniczych za ledwie około 150 tys. izb mieszkalnych, tzn. w przybliżeniu około 60 tys. mieszkań. Tylko tyle? Przecież w przeliczeniu na wskaźniki — fachowcy sprowadzają liczby do wspólnej miary — oznacza to, że budujecie ok. 5,5 mieszkań na każdy tysiąc mieszkańców miast, a jeśli uwzględnić mniejszą intensywność budownictwa na wsi, to średnia ogólnokrajowa będzie u was jeszcze nieco niższa. Odpowiedni wskaźnik dla Francji wynosi 4 mieszkania na każde 1000 mieszkańców. Wydaje się natomiast, że budujecie od Francuzów znacznie więcej. Zdziwienie łączyło się chwilami z pewnym niedowierzaniem. Ale przecież nie miałyby sensu propaganda pomniejszająca świadomie rozmiary naszego budownictwa mieszkaniowego i osiągnięcia na tym polu.

Skąd się biorą te wrażenia? — Przede wszystkim stąd, że budujemy inaczej. Planowa realizacja inwestycji, zapewniona swoboda dysponowania terenami budowlanymi, pozwala na budowy bardziej skoncentrowane, umożliwia wprowadzenie dużych mas kubatury do wnętrza miast wymagających odbudowy i przebudowy, czyni budownictwo mieszkaniowe bardziej widocznym, eksponuje je nie tylko w porównaniu z Francją, ale nawet i innymi krajami o bardziej rozwiniętym budownictwie mieszkaniowym, ale w których przeważa typ budownictwa bardziej rozproszonego. Budujemy dalej stosunkowo więcej niż gdzie indziej obiektów niemieszkalnych, wszelkiego rodzaju budynków publicznych, szkolnych, szpitalnych, nie licząc obiektów przemysłowych, wielkich robót inżynierskich. Wydaje się, że i my oglądając codziennie rozmach naszych inwestycji, znajdując się pod jego przemożnym uro-

kiem, nie bardzo się orientujemy w rzeczywistych rozmiarach budownictwa mieszkaniowego, w jego skali, choć bezpośrednie wrażenia przechodnia koryguje często i dotkliwie rzeczywistość — trudne warunki mieszkaniowe będące udziałem wielu, bardzo wielu, spośród nas...

Czy budujemy dużo, czy budujemy mało? Odpowiedź na to proste pytanie nie jest łatwa. Zaczniemy od porównania z zagranicą. O Francji już była mowa. No tak, ale Francja jest krajem nie tylko starzejacej się ludności — ale i starzejacej się zabudowy.

W porównaniu z Niemcami zachodnimi, które swój rozbudowany i odbudowany potencjał gospodarczy w sprzyjającym dla nich klimacie politycznym bloku atlantyckiego wykorzystwały w ostatnich latach dla rozwinięcia budownictwa mieszkaniowego, w porównaniu z korzystającą ciągle jeszcze ze swej imperialnej pozycji Anglią, czy takimi krajami jak Holandia i państwa skandynawskie, budujemy w stosunku do liczby ludności znacznie mniej mieszkań. Licząca 3,4 miliony mieszkańców Norwegia, oddaje do użytku co roku około 35 tys. mieszkań i jest jedynym krajem z „tamtej” strony Europy, który intensywnością budownictwa mieszkaniowego nie tylko dorównuje, ale prześciga Niemcy.

Budujemy, licząc na głowę mieszkańca, mniej mieszkań niż w krajach kapitalistycznych, które zdobywszy swą pozycję gospodarczą, dziś znacznie mniejszą część swego dochodu narodowego zużywają na inwestycje produkcyjne, niż nasz kraj z wysiłkiem rozwijający swoją bazę przemysłową. Budujemy ich również znacznie mniej niż Związek Radziecki, który dla siedmiokrotnie liczniejszej niż nasza ludności swych miast i osiedli robotniczych buduje dziś piętnaście razy więcej powierzchni mieszkalnej niż my, a więc na jednego mieszkańca dwa razy więcej.

Oczywiście takie zestawienie liczb i wskaźników, pochodzących z odmiennych i przeciwstawnych pod względem politycznym i gospodarczym krajów, ma sens jedynie jako porównanie ekonomicznego wysiłku poszczególnych narodów jaki wkładają one w budownictwo mieszkaniowe, a nie społecznych rezultatów tego budownictwa. Oto jeden fragmentaryczny przykład ilustrujący różnice w tym zakresie: W pięknym osiedlu spółdzielczym budowanym w St. Etienne na peryferiach miasta, gdzie obok nowych osiedli-kondygnacyjnych budynków mieszkalnych zobaczyliśmy jeszcze kilka ruder, na zapytanie, a co z nimi będzie — odpowiadano: Rozbierzemy je. Lokatorzy otrzymali już dwa miesiące temu wypowiedzenie i za miesiąc zwolnią mieszkania. — Czy zamieszkają w spółdzielni? O nie, opłata za mieszkanie u nas jest znacznie wyższa, poszukają gdzie indziej.

Spójrzmy na nasze budownictwo od innej jeszcze strony — od strony potrzeb. Na ich rozmiar mają ciągle jeszcze ogromny wpływ pogłębione przez zniszczenia wojenne braki z lat przedwzrostowych, kiedy należało do „drugiej klasy” krajów kapitalistycznych i będąc terenem szczególnie silnej eksploatacji przez kapitał międzynarodowy, posiadaliśmy bardzo złe warunki mieszkaniowe. Ulegały one pogorszeniu, zwiększała się stała rozpiętość między zbliżonym do zachodnio-europejskiego standardem mieszkaniowym burżuazji i części związanej z nią inteligencji, a sytuacja mieszkaniowa ludności robotniczej i pauperyzującego się drobniomieszczaństwa, słóczonych w przeludnionych jeszcze około 1800 tys. osób, mieszkaniach, bez instalacji sanitarnych i wygod. Pomimo pewnej poprawy jaką przyniosły lata odbudowy i obniżenia przeciętnego zagęszczenia mieszkań w stosunku do lat przedwojennych, pomimo znacznego wyrównania dysproporcji w zaopatrzeniu mieszkań małych i dużych dzięki polityce kwaterunkowej, mieliśmy w roku 1950 na terenie miast w mieszkaniach przeludnionych, przeważnie jednoizbowych jeszcze około 1800 osób, które należałoby z tych mieszkań usunąć, aby ich zaludnienie spadło poniżej 2 osób na izbę, wliczając w to i kuchnię. Znaczna, bo prawie trzecia część ludności mieszkała nadal w budynkach pozbawionych wodociągu i kanalizacji. Mieliśmy ponadto duży odsetek mieszkań zajmowanych przez dwie, a czasem nawet przez większą liczbę rodzin zajętych mieszkań,

Obok potrzeb związanych z prawą warunków, które zastaliśmy, niezmiernie szybko narastać zaczęły nowe potrzeby. Przy wynoszącym prawie 20 promil przyroście naturalnym, przy sięgających okresowo kilkuset tysięcy osób rocznie migracjach ludności ze wsi do uprzemysławianych i rozbudowywanych miast, budownictwo mieszkaniowe w okresie planu sześcioletniego nie mogło zaspokoić wszystkich potrzeb. Jego wielkość była ograniczona potrzebami podstawowych inwestycji. Koncentrując się przede wszystkim tam, gdzie interes produkcji tego wymagał, gdzie trzeba było dostarczyć mieszkań napływającej do prze-

wał łącznie w czasie ostatniej przedwojennej pięciolatki. W ciągu ostatnich trzech lat wybudowano tam w miastach i osiedlach robotniczych mniej więcej tyle mieszkań, ile mamy ich w ogóle w naszych miastach.

Plan pięcioletni ma przynieść dość znaczny wzrost budownictwa mieszkaniowego. Jak wynika ze wstępnych dyskusji zakłada się, że w końcowym jego okresie liczba izb mieszkalnych oddawanych do użytku powinna wzrosnąć prawie że dwukrotnie w stosunku do chwili obecnej. Nie idzie mi w tej chwili o dyskusję na temat wielkości tego wzrostu i przyjętych proporcji na-

nionych przez dwie rodziny, a więc do pogorszenia warunków mieszkaniowych żywych ludzi ceniących jak nigdy przydział ciasny byle własny. — W tym względzie w nadchodzącej pięciolatce niewiele się w naszych warunkach zmieni — każde nowe mieszkanie będzie miało nieznacznie mniejsze znaczenie. A równocześnie coraz mocniej odczuwamy niepokój, że budujemy mieszkania, których niski standard będzie ciążył na naszych miastach za lat dziesięć i trzydzieści, gdyż mieszkania przeżyją nas, tak jak my przeżywamy niejedno ubranie z 60-procentowej welny.

Czy może nas wytłumaczyć i rozgrzeszyć fakt, że pomimo ograniczeń, wielkość i wyposażenie mieszkań nowych, posiadających z reguły wodociąg, kanalizację i elektryczność, często gaz i centralne ogrzewanie, są przeciętnie znacznie wyższe, niż mieszkań w domach dawnych? Nie zawsze, jak na tym przykładzie widać, postęp w stosunku do przeszłości stanowi postęp w porównaniu z wymaganiami teraźniejszości. Czy rzeczywiście znajdujemy się w sytuacji bez wyjścia, czy konieczność maksymalizowania efektu ilościowego usprawiedliwia w pełni ten stan rzeczy? W jakim kierunku powinny pójść nasze próby podnoszenia jakości i wartości użytkowej nowobudowanych mieszkań, ich estetycznego wyglądu?

Zacznę od kwestii ostatniej. —

Oglądając projekty i mieszkania holenderskie, skandynawskie czy węgierskie i niemieckie, rozmawiając z tak licznie nas odwiedzającymi i oglądającymi nasze osiedla gośćmi zagranicznymi, biorąc pod uwagę własne obserwacje, wydaje się, że słusznego rozwiązania szukać należy w pierwszym etapie nie w zwiększeniu wielkości standardowych mieszkań, powiększaniu pokoiów itd., lecz w zwiększeniu ich wartości użytkowych i estetycznych inną drogą, a więc przez podniesienie standardu wyposażeniowego i wykonieniowego mieszkania i wspólnie użytkowanych częściach budynku mieszkalnego.

Oto przykładowe postulaty: balkony i loggie, powszechniejsze stosowanie szaf wbudowanych i pawlacy, obudowanie kuchni meblami kuchennymi, wprowadzenie spiżarek, zarezerwowanie miejsca dla lodówek i pralek, nowoczesniejsze wyposażenie łazienek, nieznacznie rozszerzenie i olejne malowanie klatek schodowych, równoczesne wykańczanie elewacji budynku i otoczenia, itp.

Niektóre z tych postulatów są kosztowniejsze, jak np. budowa balkonów, niektóre kosztują niewiele, lub nawet nie kosztować nie powinny, jak np. zastosowanie instalacji sanitarnych o bardziej nowoczesnych kształtach, łatwiejszych do utrzymania czystości. Są też takie, których sfinansowanie można by przerzucić na użytkownika mieszkania (meble wbudowane). — W sumie podniesienie standardu wyposażeniowego, zastosowanie lepszych materiałów wykończeniowych musi jednak kosztować. Czyż nie można znaleźć na to środków w części przynajmniej w samym budownictwie?

Przed kilku tygodniami byłem w Kielcach. Na przynajmniej ulicy wokół niewielkiego placu kilka domów otynkowanych i tablic: S.D.M. — Sienkiewiczowska Dzielnica Mieszkaniowa. Ponad ostatnią kondygnacją mieszkalną, ślepa i martwa „kondygnacja”: attyki, kilka rzędów wymyślnych gzymsów, jakieś pewno ryzality. Wypracowana elewacja na domu. Może to nawet jest plastycznie dobre. Nie wiem, nie znam się. Na pewno kawałek uporządkowanego miasta, który cieszy, ale i denerwuje. Jest w tym bowiem jakaś rażąca pretensjonalność, jakaś dysproporcja pomiędzy nazwą i urbanistycznym fragmentem, pomiędzy zewnętrzną wyprawą, a skromnym wnętrzem i nieuporządkowanym zaplecziem, dysproporcja pomiędzy zbyteczną ornamentacją na nowych budynkach, a poobijanymi gzymsami i tankami na sąsiednich zapuszczonych domach, pochodzących z ubiegłego stulecia. Wydaje się, że skromniejszymi środkami i z niegorszym efektem można było obudować i uporządkować tę część ulicy Sienkiewiczza, a za resztę otynkować kilka domów w zorowskich osiedlach, czerwieniejących od lat na peryferiach miasta, albo zrobić kilkanaście balkonów, albo jeszcze coś innego.

Ileż jest takich SDM-ów niekoniernie mieszkaniowych w innych

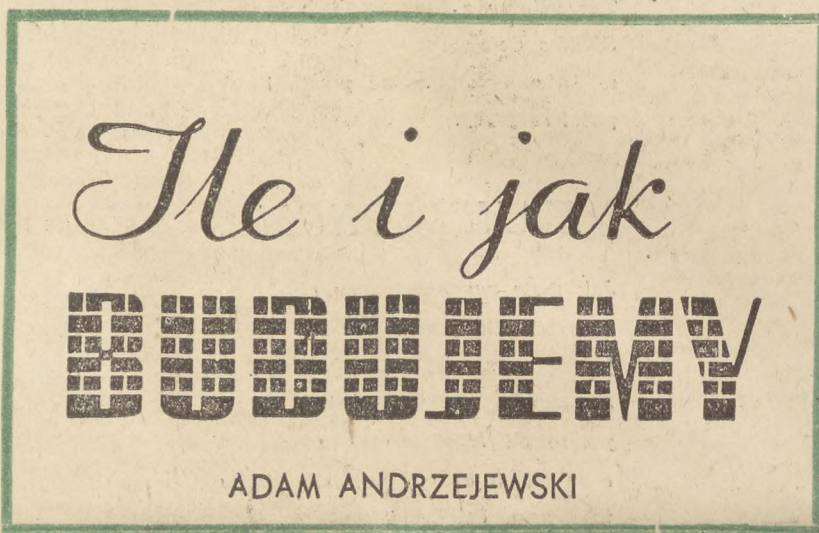
większych i mniejszych miastach, ileż niepotrzebnych sal zebraniowych w budynkach biurowych, niepotrzebnych marmurów i stiuków, których nie tylko nikt nie ogląda, ale i nie przeciera z kurzu, ileż zbytecznych posadzek w kinach i sklepach, które się szoruje ryżową (licentia poetica — żebyż to ryżową) szczotką, bo nie ma normalnych na pastę do froterowania, a gdyby nawet były to i tak nie wytrzymałyby te posadzki codziennej wędrowki tysięcy zabłoconych, czy zakurzonych butów, tak jak nie wytrzymały, bo nie mogły wytrzymać potoku klientów wyscielane krzeselka w barze mlecznym na prawdziwym MDM-ie. — Sporo jest wokół nas takich rezerw, które mogłyby przyczynić się do podniesienia poziomu wyposażenia i wykończenia nowych mieszkań i budynków mieszkalnych.

Podniesienie jakości mieszkania wymaga jednak przede wszystkim powiększenia wysiłku twórczego architekta, skierowania w znacznie wyższym stopniu niż dotychczas jego zainteresowań i ambicji twórczych ze strony zewnętrznej i z problemów konstrukcyjnych na projekt wnętrza budynku, wartość użytkową mieszkań, jego rozwiązania funkcjonalne, detal wewnętrzny, operowanie właściwym materiałem. Nie jest to sprawa prosta. Przystawienie takie to nie tylko sprawa nowego hasła, nowej mody. Wymaga ono wychowania w tym duchu młodzieży na uczelniach, konkretnych studiów, badań naukowych i eksperymentów w zakresie zagadnień akustyki, izolacji, instalacji, nowych materiałów, wymaga poznania obcych osiągnięć w wielu dziedzinach i stałej współpracy projektanta z architektem-wnętrzarchem, higienistą i technikiem sanitarnym.

Mielimy w tej dziedzinie niegorsze postępowe tradycje i osiągnięcia w okresie międzywojennej działalności Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej i Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej i niegorszą obojętność na te zagadnienia w okresie lat ostatnich. Charakterystyczny jest fakt, że wśród wielu nagród państwowych w zakresie architektury nie było ani jednej przyznanej za dobre mieszkanie. Część dyskusji zesłorocznej Moskiewskiej Rady Architektoniczno-Budowlanej poświęcona tej sprawie, nie wzbudziła większego zainteresowania na łamach naszej prasy fachowej i w późniejszych dyskusjach w środowisku projektantów. Zagadnienie jest natomiast tym istotniejsze, że próby i poszukiwania w zakresie uprzemysłowionego budownictwa mieszkaniowego mogą pod pozorem konieczności technologicznych i konstrukcyjnych kusć architektów do kompromisów w zakresie użyteczności i jakości mieszkań.

Zacząłem od zagadnienia rozmiarów naszego budownictwa mieszkaniowego, a skończyłem na zagadnieniu standardu jakościowego budowanych mieszkań. Choć i pierwszy problem jest dość skomplikowany i trudny, to pomimo wszystko jest on prostszy niż drugi. Wiemy na jakiej drodze można zwiększyć masę kubatury budowanej, orientujemy się w skali potrzeb i ich lokalizacji, dyskutujemy nad wytycznymi planu pięcioletniego w tym zakresie. Natomiast problemy jakości mieszkań, poza sprawami wykonawstwa budowlanego, niedoróbkami i usterkami nie schodzący z łam prasy codziennej, są jak gdyby poza zainteresowaniem. Zbyt mało się pisze i mówi o programach i układach mieszkań oraz budynków mieszkalnych, o użytkowości wyposażenia i wykończeniu mieszkań typowych i nietypowych. Co najwyżej o fasadach i elewacjach. Brak jest ustalonych i przemyślanych normatywów wykończenia i wyposażenia. Instrukcje i wytyczne w tym zakresie ulegają stałym zmianom zależnie od sytuacji w zakresie zaopatrzenia, a ostateczne wykończenie mieszkania zależy od tego, jak „leci” materiał na budowie.

Wiele uwag i postulatów skierowanych zostało w tym artykule pod adresem architektów. Nie za wszystkie oczywiście sprawy mogą oni odpowiadać samodzielnie, wiele decydowanych jest poza nimi. Nawet jednak i w tych sprawach, architekt jako ten, który liczbom planu inwestycyjnego nadaje kształt mieszkania, jest głównym adresatem i on powinien w pierwszym rzędzie zabrać głos w obronie swych możliwości twórczych, w obronie przyszłych użytkowników swego dzieła.



mysłu ludności, nie mogło ono sprostać wszystkim potrzebom, powodując nieraz nowe lokalne trudności i wąskie gardła. — Weźmy jedną liczbę dla przykładu: dla zaspokojenia uzasadnionego pragnienia otrzymania samodzielnego mieszkania przez młode małżeństwo trzeba by w miastach mieć do dyspozycji około 100 tys. mieszkań rocznie, gdy tymczasem w rzeczywistości budujemy niespełna dwie trzecie tej sumy, natomiast starych mieszkań zwalnia się stosunkowo niewiele. Obraz byłby jednostronny, gdybyśmy nie przytoczyli innych faktów. Należy pamiętać, że w okresie dziesięciolecia oddaliśmy do użytku ludności miejskiej około 1,5 miliona izb mieszkalnych odbudowanych i nowowzniesionych, że zamieszkało w nich około 2,5 miliona osób, a więc ponad 20% ludności naszych miast. Nie powinniśmy również zapominać, że budujemy dziś znacznie więcej mieszkań niż przed wojną, choć rozbudowujemy w tym samym czasie przemysł, rozwijamy rolnictwo i nasz wysiłek w zakresie inwestycji produkcyjnych i wszelkiego rodzaju budownictwa w zakresie oświaty, kultury, zdrowia itd. Jest wielokrotnie większy niż w innych latach stagnacji gospodarczej przepłatający latami kryzysów. W ciągu pierwszych 5 lat realizacji planu sześcioletniego budowaliśmy przeciętnie rocznie prawie dwa razy więcej izb mieszkalnych niż w ostatnich 5 latach przedwojennych, dla których ogłoszone zostały dane statystyczne, a które obejmują rekordowe dla ówczesnego budownictwa lata 1936 i 1937. Nie jest więc naprawdę łatwo odpowiedzieć jednoznacznie na pytanie czy budujemy dziś dużo czy mało, aby nie zagubić z jednej strony miary potrzeb, z drugiej miary wysiłku. Pewne jest natomiast, że aby zaspokoić nasze zapotrzebowanie powinniśmy budować znacznie więcej.

Porównanie rozmiarów naszego budownictwa mieszkaniowego z budownictwem produkcyjnym krajów kapitalistycznych stanowiło przypomnienie odziedziczonych po tymże kapitalizmie wielowiekowych niedbań i trudności oraz stwierdzenia faktu, iż w wielu dziedzinach czeka nas jeszcze konieczność dogonienia ich i przegonienia. Równie niekorzystna rozpiętość pomiędzy nami i Związkiem Radzieckim, w którym zresztą, jak stałe się podkreśla, rozmiary budownictwa mieszkaniowego ze względu na trudną sytuację mieszkaniową po wojnie i szybki rozwój miast są ciągle jeszcze niewystarczające, kryje w sobie natomiast optymistyczną perspektywę. Ukazuje ona możliwość, jakie daje w gospodarce socjalistycznej szybki rozwój podstawowych gałęzi produkcji dla przyspieszenia z kolei rozwoju tych działów gospodarki, które służą bezpośrednio zaspokojeniu potrzeb człowieka. Obecnie Związek Radziecki buduje w ciągu roku więcej powierzchni mieszkalnej niż wybudowa-

kładów na poszczególne rodzaje inwestycji, ocenę, że wzrost ten jest wystarczający, lecz o niektóre sprawy związane z przewidywanym rozwojem budownictwa. Wiemy, że podwojenie inwestycji mieszkaniowych nie może się dokonać w sposób mechaniczny poprzez przydział podwójnej ilości środków do dyspozycji architektów i budowniczych, lecz w drodze uporczywej walki o nowe materiały, o uprzemysłowienie budownictwa. Nie wyrzekając się udoskonalenia dzisiejszych tradycyjnych metod budowlanych, dążymy do wprowadzania nowych, do stopniowego przekształcania produkcji budowlanej z powołnego rzemieślniczego procesu „na mokro”, gdzie cykl budowy uzależniony był od warunków atmosferycznych i tempa wiązania się cementu i wapna, w suchy montaż wielkich prefabrykowanych elementów, produkowanych poza placem budowy i wymagających potężnych mechanizmów transportowych.

W roku ubiegłym na jednym z osiedli Nowej Huty opodal Kombinat — jest w tej lokalizacji nieprzypadkowa chyba jakaś poetycka metafora — rozpoczęła się realizować pierwsza uprzemysłowiona budowa. W roku bieżącym pracuje nad tym zagadnieniem kilka pracowników projektowych, eksperyment rozszerzył się na inne place budowy w Warszawie, Poznaniu, Nowych Tychach, Wrocławiu. W roku 1960 — uprzemysłowione metody powinny dostarczyć już prawie połowę całej kubatury mieszkaniowej. — Nowe formy budownictwa to szereg nowych problemów organizacyjnych i technicznych, nowe i trudne problemy plastyczne w architektonicznym i urbanistycznym rozwiązaniu projektów, pewna ilość nieuniknionych nieporozumień w tym zakresie, zanim opamięta się nowy temat, wreszcie różne sprawy programowe, jeśli nie zupełnie nowe, to ze względu na zwiększoną skalę budownictwa nabierające szczególnego znaczenia. O nich chcę przede wszystkim parę słów powiedzieć.

Szybki rozwój techniki na świecie, wzrost możliwości i ułatwień jakie stwarza ona w zakresie prowadzenia gospodarstwa domowego, organizacji wypoczynku, rozrywek oraz pracy intelektualnej zmienia oblicze mieszkania w szybkim tempie. W bardzo małym stopniu korzystamy z produkcyjnych doświadczeń zagranicznych w tym zakresie. Budujemy nie tylko więcej mieszkań mniejszych co jest zrozumiałe na tle ogólnych naszych trudności, ale są one na ogół technicznie gorzej wyposażone i wykończone, nie mówiąc już o częstych błędach i usterkach wykonania. Zwiększenie wielkości mieszkania, zwiększenie nakładów na urządzenie wnętrza prowadzi, przy ograniczonych środkach w naszych warunkach, do zmniejszenia ilości budowanych mieszkań samodzielnych, a w praktyce automatycznie do zwiększenia ilości mieszkań załud-